

Michalina Wołoszczowa
**Z DAWNYCH
CZASÓW**



Wydawnictwo M. Arcta w Warszawie

732.

380

Tom II



MICHALINA MOSSOCZOWA
(M. KOLISKÓWNA)

Z DAWNYCH CZASÓW

OPOWIADANIA Z HISTORJI POLSKIEJ

CZĘŚĆ II

CZASY JAGIELLONÓW I KRÓLÓW ELEKCYJNYCH

WYDANIE SZÓSTE

Z ILUSTRACJAMI I. ILLINICZA



WYDAWNICTWO M. ARCTA W WARSZAWIE

Printed in Poland

M. ARCT — ZAKŁADY WYDAWNICZE

Sp. Akc. w Warszawie

WARSZAWA. KSIĘGARNIA NOWY ŚWIAT 35.

ODDZIAŁY I PRZEDSTAWICIELSTWA:

GDĄSK. Tom „Ruch”. Rynek Kaszubski.

KATOWICE. Księgarnia Polska. Poprzeczna 2.

KRAKÓW. Księgarnia Jagiellońska. Wilcza 3.

LUBLIN. M. Arct i S-ka, Krak.-Przedm. 17.

ŁWÓW. Księgarnia Naukowa. Zimorowicza 17.

ŁÓDŹ. M. Arct i S-ka. Piotrkowska 105.

NEW YORK. Polish Book Importing Co.

POZNAŃ. M. Arct. Księgarnia, plac Wolności 7.

RÓWNE. Księgarnia Naukowa. Szosowa 27.

WILNO. Księg. Słow. Nauk. Polsk. Królewska 1.

KRAKÓW — Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

1924



Powiatka z czasów Jadwigi i Jagiełły.

Kazimierz Wielki mianował swoim następcą Ludwika, syna swej siostry Elżbiety, królowej Węgier. Ludwik Węgierski (1370—1382) mieszkał przeważnie na Węgrzech. Rządy zań sprawowała jego matka, Elżbieta. Ludwik zawarł z panami polskimi umowę (pakt) w Koszycach, mocą której po jego śmierci na tron polski miała wstąpić jedna z jego córek. — Przywileje, które szlachta otrzymała paktem koszyckim, były początkiem wszystkich swobód szlacheckich, które później tak szkodliwie oddziaływały na losy naszego kraju.

Po śmierci Ludwika nastąpiło *bezkrólewie* (1382—1384), w czasie którego trwały ciągle wojny domowe. Przybycie córki Ludwika, trzynastoletniej Jadwigi, położyło kres nieszczęściom. *Jadwiga* (1384—1399) wyszła za mąż za *Jagęłłę*, wielkiego księcia litewskiego, który dla niej przyjął wiarę chrześcijańską i ochrzcił swój naród (1386). W ten sposób Polska została połą-

czona z Litwą. Razem z Litwą została przyłączona do Polski i Ruś zachodnia, podbita przez książąt litewskich.

Umierając, Jadwiga zapisała swe klejnoty i majątności na odnowienie Akademji krakowskiej. Wolę jej spełnił Jagiełło, i w lipcu 1400 roku Akademia została uroczystie otwarta. Odtąd nosi ona miano Wszechnicy Jagiellońskiej, czyli Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Jasne promienie słońca wesołym światłem zalewały liczny tłum ludzi, ślizgały się po jedwabnych i aksamitnych sukniach mieszczek krakowskich, po ich bogatych czepcach, całowały długie warkocze dziewcząt i zaglądały ciekawie w oczy panom rajcom. Rajcowie miasta z wielką powagą stali na środku ulicy, widocznie oczekując przybycia jakiegoś znakomitego gościa.

A musiał ten gość być nie tylko bardzo znakomity, lecz zarazem i bardzo drogi, bardzo kochany, gdyż cały Kraków wyległ na jego spotkanie, a wszystkie domy były ubrane w zieleń, kwiaty i kobierce. Aby lepiej widzieć, chłopcy powłazili na dachy i wspinali się na płoty.

— Matuś — rzekła jedna z dziewczynek w błękitnej jubce, z długimi płowemi warkoczami — czy nie widać jeszcze orszaku?

— Nie, Jagusiu, nic nie widać.

Jagusia potrząsnęła główką.

— Nic tu nie zobaczę — zawołała — a takbym chciała ujrzeć naszą kochaną królową. Matusiu, wleżę na płot, tam Staszko już siedzi!

— Nie, nie można, co przystoi chłopcu, nie uchodzi dziewczce. Jakbyś ty wyglądała na płocie?

— Co mi tam, byle naszą Jadwigę zobaczyć!

— Nie godzi się, nie chodź, Jagusiu — rzekła matka stanowczo. — A święta to pani ta nasza młoda królowa, prawda, kumo?

— Oj, prawda. Pamiętacie, kumo, jak dwa lata temu przybyła do Polski?

— Pamiętam, pamiętam... Było to w październiku, kraj cały wrzał, jako woda w garnku. Wodziła się za łby szlachta, oj, bo wodziła... Grzymalici z jednej, a Nałęcz z drugiej strony.

— A dlaczego się oni za łby wodzili? — spytała Jagusia, przysłuchując się rozmowie, zapomniawszy na chwilę o płocie.

— Dlatego, że było bezkrólewie. Każdy innego króla sobie wybierał, niezgoda poważniała ziemię polskie, brat na brata oręż podnosił... Nareszcie przybyła prawa dziedziczka nasza, królowa Jadwiga, i zaraz wojna ustała. A jaka śliczna była! jak ten aniołek Boży w obrazku, a tak młoda — ledwo trzynaście lat miała. Prościutka, wysoka, jak ta lilijka, biała!

Jagusię znów ogarnęła nieprzeparta chęć ujrzenia tej pięknej królowej. Korzystając, że matka, zajęta rozmową, nie zwraca na nią uwagi, podbiegła do płotu.

— Staszku — zawołała na brata — pomóż mi wleźć.

— Nie można, Jaguś mój złocisty! Matka będą się gniewali.

— Nie zobaczą, zleżę przedziutko, jak tylko królowa przejedzie.

To mówiąc, Jagusia, przy pomocy Staszka

i jego towarzyszków, wdrapała się na płot i usiadła wygodnie na słupku.

— O... teraz wszystko widać — całą drogę, jak pięknie wysypana świerkiem i tatarakiem.

— A nie spadnij czasem! — upominał ją brat.

— Ej, nie.

I zaczęła się przysłuchiwać rozmowie dwóch kobiet, co stały obok niej pod płotem.

— Tak, moja kumo, od kilkunastu lat nie widziałam męża. Litwini trzymali ci go w niewoli. Teraz wraca z królową. Oj, święta to pani!

Tu niewiasta złożyła swe wychudłe ręce, jakby do modlitwy, a na jej bladej twarzy ukazał się rumieniec radości.

— Mówią, że niechętnie szła za Jagiełłę.

— Nie dziwota, toć kochała przecie swego narzeczonego, Wilhelma, nawet bramę Krakowa chciała rąbać toporem, gdy ją przed nim zamknęli.

— Dzielna niewiasta! Wdała się w swego pradziadka, Łokietka. A tak bardzo ukochała swój naród, że się dla jego dobra własnego szczęścia zaparła! Zgodziła się wyjść za Jagiełłę, by Polsce siły przysporzyć przez połączenie z Litwą.

— Ja zaś słyszałam, że dlatego wyszła za Jagiełłę, że on Litwę ochrzcić obiecał.

— A widzicie, kumo! Nie mówiłam, że to święta pani? Wolała za swoje szczęście raj poga-nom kupić.

Jagusia przysłuchiwała się uważnie, już wiedziała, że cały naród chwali królową, że o biednych pamięta, że chorych leczy, że łączy ludzkie

ociera — i w małym jej serduszką obudziła się gorąca miłość dla tej dobrej, anielskiej pani, co życie swoje Bogu i ludziom niosła w ofierze.

— Już widać orszak, tam... hen... daleko! — zawołał Staszko.

— A króla nie będzie?

— Nie, król na Litwie ostał, jeno królowa teraz wraca po ochrzczeniu Litwinów.

Jagusia nie mogła oderwać wzroku od zbliżającego się orszaku. Na przedzie jechali na pięknych koniach rycerze z pióropuszcami, w srebrnych blachach na piersiach. Za nimi w skromnej kolasce ukazała się królowa Jadwiga. Za królową ciągnął dwór, liczne wozy, wreszcie jeńcy, co wracali do kraju po długich latach niewoli litewskiej.

Jadwiga miała na sobie gładką białą szatę bez żadnych ozdób i klejnotów. Prześliczna jej twarz tchnęła wielką słodyczą i dostojnością; w dużych oczach malowała się pogoda i spokój duchowy; długie włosy, nie utrefione ani splecione misternie, spływały ciemną falą na jej białuchną suknię.

Spojrzała dokoła. Na widok umajonych ulic, zwartej ławy ludu, przybranego odświętnie na jej przybycie — radość zabłysła w jej pogodnych oczach, i dwie łzy, jak dwa brylanty najdroższe, potoczyły się po cudnej twarzy królowej... Dokoła panowała tak wielka cisza, że, zda się, słyszeć było bicie serc wzruszonych.

Jadwiga skinęła ręką. Kolaska zatrzymała się, przed królową stali rajcy miejscy, nie mogąc przemówić ze wzruszenia... Zwolna podniosła się królowa z siedzenia.

— Witajcie, kochani moi — rzekła, wyciągając rękę i kreśląc nad odkrytymi głowami ludu znak krzyża świętego.

Wtenczas z tysiąca piersi wyrwał się głośny okrzyk, lud rzucił się do kolaski, by całować kraj szaty swej kochanej pani.

Za zbliżeniem się królowej, Jagusi zabiło serce silnie, jak młotem. Nic nie widziała: ani ludu, ani rycerzy bogato ubranych, ani magnatów krakowskich, co otaczali kolaskę królowej, jeno tę cudną, bladą twarz, białą jak opłatek i te duże, pogodne i spokojne oczy, z których łzy radości i wzruszenia płynęły.

Gdy się wszyscy rzucili, by pokłonić się królowej, Jagusia zapomniała, gdzie się znajduje, zapomniała, że siedzi na wysokim płocie, wyciągnęła rękę, chciała lecieć do tej uwielbianej królowej. Nagle straciła równowagę i spadła na ziemię...

Rozdzierający krzyk i jęk rozległ się w powietrzu.

— Co to się stało? — spytała królowa.

— Dziecko jakieś spadło z płotu — odpowiedział ktoś z tłumu.

— Nogę złamała podobno.

Królowa Jadwiga zasmuciła się.

— Biedna... Zanieście ją do zamku, do moich chorych — rzekła do otaczających ją. I skinęła głową.

Kolaska potoczyła się dalej wśród radosnych okrzyków.

Tymczasem potłuczona, nieposłuszna Jagusia leżała bez czucia na ziemi. Natychmiast sporządzono nosze i ostrożnie złożono na nich dziew-

czynkę. Jęczała z bólu. Ponieśli ją do zamku. Zanoszami postępowała matka, łamiąc ręce z rozpacz i rzewnie płacząc. Staszko smutnie włókł się za niemi, przecierając kułakami oczy załamane.

Chora leżała wciąż bez przytomności, blada jak kreda, z wykrzywionemi z bólu usteczkami, od czasu do czasu wydając jęk cichy.

Przyniesiono ją wreszcie na zamek. Medyk królewski wprawdzie złożył nogę, obłożył łupkami z drzewa, obwiązał płótnem. W czasie tej operacji Jagusia strasznie jęczała.

— Czy prędko wyzdrowieje? — spytała matka.

— O, prędko, dziewczka silna i zdrowa, jeno nacierpi się trochę.

— Będzie jej tu lepiej niż w domu, wracajcie, niewiasto, — rzekła dozorczyńni — wracajcie spokojni; da Bóg, kość się zrośnie...

— A kuleć nie będzie?

— Jeżeli prędko wyzdrowieje, to nie. Trzeba jeno, żeby spokojnie leżała — odpowiedział medyk.

Biedna matka ze łzami w oczach powlokła się do domu. Staszek, chlapiąc żałośnie, pobiegł za nią.

— Matusi, to moja wina — rzekł, zanosząc się od płaczu — to ja pomogłem Jagusi wleźć na płot.

— Widzisz, synku, jak teraz Jagusia cierpi za swoje nieposłuszeństwo i za twoją nieuwagę; biedne dziecko!

Zaraz po odejściu matki Jagusia zaczęła od-

zyskiwać przytomność. Noga bolała ją ogromnie. Spojrzała dokoła: w izbie stało kilka łóżek, leżeli na nich chorzy. Obok niej niespokojnym silnym snem spał jakiś blady mężczyzna.

— Patrzajcie, kumo, jak go wyniszczyła wilgoć i głód w lochu — mówiła jedna kobieta do drugiej, siedzącej przy chorym.

— Oj, ta niewola litewska! Szczęściem, że się królowa nim zaopiekowała...

— Gdzie ja słyszałam ten głos? — pomyślała Jagusia i z trudnością zwróciła głowę w stronę rozmawiających. — Aha, to ta, co stała obok mnie pod płotem, gdyśmy czekali na królową. Mąż jej wrócił z niewoli... chory... Czekaliśmy na Jadwigę... Królowa miała twarz bladą... i takie duże, spokojne oczy... Chciałam lecieć do niej... i... spałam... tak... ach, jak mnie noga boli!... Gdzie ja jestem? — zawołała nagle — gdzie matusia, ojciec, gdzie Staszko?

Nikt jej nie odpowiadał. Jagusi zaczęło się robić ogromnie gorąco.

Nad wieczorem gorączka powiększyła się. Znowu straciła przytomność, zaczęła bredzić, rzucać się niespokojnie. Chciała usiąść, to znów próbowała wyskoczyć z łóżka i biec.

— Do królowej! — wołała nieprzytomnie — naszej pani, Jadwigi!

To znów przyzywała matki, ojca, Staszka.

Dozorczyńni całą siłą przyciskała jej ramiona do poduszki.

— Jeżeli to rzucanie się w gorączce potrwa dalej — rzekł medyk — na nic całe leczenie, cze-



...Jadwiga podeszła do Jagusi i pocałowała ją w czoło.

ka ją kalectwo, a może śmierć. Noga się nie zro-
śnie...

Nagle weszło kilka dozorczyń, ksiądz i kilka
pań strojnych; za nimi ukazała się królowa, od-
wiedzająca swych chorych.

Zatrzymawszy się przy kilku łózkach i przemówiwszy do każdego chorego kilka słów pociechy, podeszła do Jagusi, pocałowała ją w czoło, przytrzymując lekko jej ramiona.

Dziewczynka przestała się rzucać. Zdawało jej się, że łagodny wietrzyk zaczął chłodzić jej skronie, że cudna twarz anioła, a biała jak opłatek, schyliła się nad nią...

— W niebie jestem — szepnęła cicho dziewczynka rozgorączkowana — w niebie...

I spokojnie zasnęła.

— Uratowaliście ją, pani, królowo nasza! — rzekł medyk — przy was uspokoiła się zupełnie, sen ją pokrzepi.

Królowa zwolna podniosła się od łoża Jagusi i, jak anioł biały, poszła do innych chorych, by ich leczyć, krzepić, pocieszać.

Nazajutrz rano Jagusia otworzyła oczy.

— Gdzie jestem? — spytała.

Znów nikt jej nie odpowiedział. Dozorczyni, zajęta innymi chorymi, nie dosłyszała jej pytania. Jagusię ogarnął straszny niepokój i tęsknota. Leżała wycieńczona gorączką, złamana bólem.

— Niema matusi — szepnęła — i Staszka niema, ani ojca... Gdzie oni? Czemu mnie samą zostawili... u obcych? A noga tak boli... Mój Boże!... Wczoraj byłem w niebie... Dobrze mi było. Dziś sama...

Łkanie wstrząsnęło jej piersią, łzy popłynęły po bledziutkiej twarzyczce i zasłoniły jej cały świat.

— Matusiu! chodźcie do mnie — nie zostawiajcie mnie samej u obcych! Matusiu!...

Wtem słodki głos odezwał się nad jej uchem:
— Cicho, dziecinko, przyjdzie matusia, zaraz przyjdzie, nie płacz...

I biała cudna twarz znów pochyliła się nad Jagusią, a wielkie, pogodne, spokojne oczy uśmiechnęły się do niej łagodnie.

— Tyś królowa Jadwiga, pani nasza! — zawołała dziewczynka, całując jej rękę.

Królowa przytuliła ją do piersi.

— No, cicho, malutka, nie męcz się, nie mów dużo, nie płacz. Leż spokojnie, ot tak. — Tu królowa znów ją pocałowała w głowę. — Matusia zaraz przyjdzie.

— Nie odchodźcie ode mnie, pani! — zawołała Jagusia, widząc, że królowa powstaje z jej łóża.

Jadwiga uśmiechnęła się.

— Skoro wyzdrowiejesz, zabiorę cię do zamku, do siebie, dobrze? jeno musisz być posłuszna i po płotach, jak kot, nie łązić. Dużo frasunku przyczyniłaś matusi, a sobie bólu.

Lecz Jagusia nie czuła w tej chwili żadnego bólu. Szczęśliwa bez miary, patrzyła na królową i wyciągała do niej rękę, by do matki rodzonej.

.

Tak ludzi leczyła, o nieszczęśliwych i biednych pamiętała i łzy ludzkie osuszała — święta i kochana pani nasza, królowa Jadwiga.



Powiaśtka z czasów Władysława Jagiełły.

Władysław II Jagiełło (1386—1434) po ochrzczeniu Litwy przebywał prawie ciągle w Krakowie. — Krzyżacy, którzy wciąż napadali to ziemie polskie, to litewskie, byli naturalnie niezadowoleni z tego sojuszu polsko-litewskiego, chcieli złamać potęgę Polski i zagarnęli ziemię dobrzyńską. Jagiełło zaczął gotować się do wojny, lecz Jadwiga powstrzymywała go, bojąc się rozlewu krwi chrześcijańskiej. Po jej śmierci Jagiełło rozpoczął wojnę z krzyżakami i zadał zakonowi wielką klęskę pomiędzy Grunwaldem a Tannenbergiem (1410). Klęska ta złamała potęgę zakonu. Ziemia dobrzyńska została zwrócona Polsce, Pomorze pozostało jednak jeszcze w rękach Niemców,

Nad samą prawie granicą krzyżacką stał niewielki zameczek, obwarowany doskonale. Zwano go Wilczą Górą. W zameczku tym siedział rycerz Krzysztof, przezwany przez Niemców Wściekłym

Wilkiem. Bo też pan Krzysztof dawał się nieraz we znaki zdradzieckim krzyżakom, co napadali na spokojną polską ludność nad granicą, skradając się pocichu, jak złodzieje i rabusie! Jeno koło Wilczej Góry panował spokój, — tak się krzyżacy bali »pazurów« Wilka.

Zbliżał się rok 1410. Pomiedzy ludem chodziły wieści o wielkiej wojnie z Niemcami. I pan Krzysztof z Wilczej Góry gotował się do niej, jakby na jakie wesele.

— Odwieczny to nasz wróg — mawiał do swoich — jeżeli go nie zdusimy, przepadnie cała Polska.

Gdy się rozeszły wieści, że krzyżacy najechali na polskie ziemie, i że król Władysław Jagiełło rozesłał wici na wojnę, pan Krzysztof natychmiast rozpoczął wraz ze swoim pocztem najeżdżać ziemie krzyżackie.

Niemcy postanowili krwawo się odemścić.

Pewnego wieczoru Jędrus, jedyny syn pana Krzysztofa, zabawiał się na dziedzińcu strzelaniem z łuku.

Wtem nadbiegł przestraszony pachołek.

— Wielka siła Niemców wali na nasz zamek! — zawołał.

— Uwidziało ci się, pewno ojciec wracają.

— Oj, nie, to Niemce, wracają z pod lasu, tam się zatrzymali, widziałem ich białe płaszcze zdaleka.

Straszny popłoch powstał w zameczku. — Szczupła załoga zaczęła gotować się do obrony. Jędrak nie stracił serca; wydostawał oręż dla nieuzbrojonych pacholków, ścisnął i całował ręce

matki, która z trwogą patrzyła na zbliżającego się nieprzyjaciela.

Jednakże, mimo dzielnej obrony, krzyżacy szturmem wzięli zameczek; przy pomocy drabin dostali się do środka i zaczęli pastwić się nad Polakami. Wymordowali prawie całą załogę. Kilku knechtów rzuciło się na Jędrusia. Chłopiec bronił się dzielnie, wreszcie uległ przemocy. Niemcy przewrócili go na ziemię, przycisnęli kolanami jego piersi i silnie związali mu powrozami i rzemieniem ręce i nogi.

Chłopiec leżał bez ruchu, jak kłoda.

Naraz usłyszał bolesny krzyk. We drzwiach od sieni stała pani Krzysztofowa, blada jak płótno.

W jej oczach było tyle dumy, odwagi i mocy, że żaden z knechtów nie śmiał się zbliżyć do niej, by ją skępować. Więc rozwścieczony rycerz krzyżacki podbiegł do niej i z całej siły uderzył ją pięścią w skroń. Niewiasta padła nieżywa.

Jędrkowi pociemniało w oczach z bóleści i żalu. Zemdlał...

O świcie krzyżacy ruszyli szybko z powrotem, uwożąc wraz z sobą Jędrka.

— Dobrze temu Wściekłemu Wilkowi — mówili zadowoleni — gdy wróci, zastanie zglišcza i trupa swej żony!

Niepodobna opisać, co się działo w duszy biednego Jędrka. Przed oczyma wciąż stała mu matka, zwalona brutalną pięścią podłego krzyżaka. Zaciskał zęby z bólu, ale przed wrogiem nie chciał zdradzić się ze swem cierpieniem.

— Ojciec wróci i pomści na krzyżakach

śmierć matki — myślał, zapominając, że jej tam lepiej będzie w grobie, niż jemu w niewoli.

Zaczął się ściemniać. Krzyżacy zanucili pieśń wesołą.

— Hej! — pomyślał Jędrak — krzyże na płaszczach noszą, a niema Boga w ich sercu. Zamiast służyć Jemu i nawracać pogan, przelewają krew chrześcijańską i jeszcze śpiewają wesoło. Kto ich ukarze, kto? za śmierć mojej matki, za ich kłamstwa, za chciwość?

Nie wiedział, że połączona Litwa i Polska wkrótce miały uderzyć na butnych krzyżaków by grom z jasnego nieba — że czekała ich klęska pod Grunwaldem!

Na trzeci dzień przybyli krzyżacy do jakiegoś wielkiego grodu. Jędrak upadał ze zmęczenia. Ręce i nogi popuchły mu od powrozów, rzemień poprzecierał mu skórę. Nawpół żywego wprowadzono do wielkiej sali.

Podszedł doń mężczyzna wysokiej postawy. Pancerz jego kowany był ze srebrnej blachy. Miał na sobie również białą płaszcz z czarnym krzyżem.

— Komtur zapewne — pomyślał sobie chłopiec.

Krzyżak zaczął mu zadawać różnie pytania. Jędrak milczał dumnie.

— Znać, że płynie w nim ta przeklęta krew słowiańska. Godny to syn tego Wściekłego Wilka! — zawołał komtur rozgniewany i skinął na knechtów.

Chłopca zawleczono i rzucono do ciemnego, wilgotnego lochu.

Tam powoli płynęły mu godzina za godziną,

dzień za dniem. Siły opuszczały go coraz bardziej. Leżąc na zgniłym barłogu, modlił się do Boga o rychłą śmierć, tak ciężko mu było żyć w ciemnicy, jeść chleb szcerstwiający, czarny i pić brudną wodę...

Tymczasem pan Krzysztof powrócił z wyprawy zaraz na drugi dzień wieczorem. Rozpacz jego nie miała granic.

— Żona zabita, dziecko w niewoli krzyżackiej! Ot, moja dola, moja czarna dola! — powtarzał cicho.

Wyniosła jego postać schyliła się ku ziemi, a włos czarny, jak skrzydło kruka, posiwiiał przez jedną straszną noc, spędzoną przy trupie ukochanej żony.

Powstało w nim pragnienie strasznej zemsty; chciał ruszyć w ślad za łupieżcami, lecz przypomniał sobie, że król wzywa wszystkich rycerzy na wojnę. Zostawił więc wymiar sprawiedliwości samemu Bogu.

— Pierwej niżli o synu, o ojczyźnie myśleć trzeba — rzekł biedny rycerz. — Więc zamiast na komtura, co mi Jędrusia zabrał, pójdę do króla bić się z tymi rabusiami za krzywdy wszystkich Polaków i za krzywdy mej ziemi.

I poszedł zaraz po pogrzebie swej żony.

Wojna tymczasem rozgorzała na dobre, każdy chwycił za oręż i szedł na bój śmiertelny. Nie upłynęło miesiąca, gdy oba wojska stanęły prawie oko w oko między Grunwaldem a Tannenbergiem na Zielonem Polu.

Butnym krzyżakom przybyli w pomoc liczni rycerze z Zachodu. Przyszli tu oni bić się niby

za wiarę świętą, ale wkrótce przekonali się, że ich krzyżacy oszukali, że ich sprowadzili, aby mieć tem większą siłę.

Wielki mistrz krzyżacki zapewnił ich, że Polacy, choć już dawno ochrzczeni, są poganami i barbarzyńcami. A wiedział dobrze przewrotny, kłamliwy krzyżak, jak pobożnym, religijnym, obyczajnym był nasz naród. To też niechętnie szli ci rycerze na bój przeciw Polakom.

W obozie krzyżackim znajdował się również i Jędrak, którego nawpół przytomnego wyciągnięto z lochu i przywieziono z wojskiem.

Przed bitwą wielki mistrz krzyżacki kazał zawołać chłopca do siebie.

Jędrak stanął przed nim wychudły, wynędzniały.

— Czy bardzo boisz się śmierci? — spytał go Ulrich von Jungingen.

Chłopiec nic nie odpowiadał.

— Patrzcie, strach mowę mu odebrał! — zawołał wielki mistrz.

Rycerz i komturowie roześmieli się na całe gardło.

— Zobaczysz się dzisiaj z twoim ojcem; porozumiałem się z nim przez moich ludzi, dał słowo rycerskie, że będzie dzisiaj sam w Tannenbergu.

Jędrkowi serce zadrgało radością.

— Pojedziesz tam i powiesz mu, że jeżeli się z ludźmi swymi przyłączy do Jagiełły i pójdzie na nas, wnet spadnie twoja głowa. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Niech opuści Jagiełłę a pomaga zakonowi, to mu oddamy ciebie. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Pod wieczór wrócisz do mnie z odpowiedzią twego ojca. Pamiętaj, że albo śmierć twoja, albo wolność. Masz to powtórzyć ojcu. Powtórzysz?

— Powtórzę — odpowiedział Jędrak.

— To jedź!

Kilkunastu knechtów otoczyło Jędrka.

— Przynajmniej jeden ząb wyrwę Jagielle, gdy mu Wściekłego Wilka obezwładnię; siła złego ten człowiek uczynić nam może. Moi ludzie rzucają oręż ze strachu na jego widok! — mówił zadolowany wielki mistrz do komturów.

— A syna i tak mu nie oddamy — dorzucił jeden z nich.

Krzyżacy zaśmieli się wesoło.

Tymczasem Jędrak rozmyślał przez drogę, czy powtórzyć ojcu słowa krzyżackie, czy nie.

— Nic, nic mu nie powiem. I tak pójdzie na Niemca, musi iść, bo to jego powinność... Poco się ma męczyć? Poco ma wiedzieć, że jego pierwszy strzał mnie śmierć przyniesie... Nie, nic mu nie powiem!

Koło południa chłopiec stanął w pobliżu Tanzenberga. Zdaleka było widać namioty obozu wojska polskiego. Knechci, prowadzący Jędrka, zbliżyli się do przednich czatów.

— Czego chcecie? — zapytano z obozu — dalej iść niewolno!

— Poselstwo od wielkiego mistrza do Krzysztofa z Wilczej Góry — odpowiedzieli knechci.

— Zatrzymać się tutaj, damy znać Krzysztofowi.

Po chwili kilku rycerzy nadeszło i wskazało przybyłym ustronną gospodę. Koło niej stało kilkunastu polskich rycerzy.

Knechci zaprowadzili Jędrka do budynku i cofnęli się od drzwi, pozostając na czatach. Jędrek wszedł do środka.

W alkierzu przy stole siedział mężczyzna, przybity nieszczęściem, z siwą głową. Ukochane te rysy wzruszyły Jędrka do głębi.

— Ojcze! — zawołał z bólem. — Co się z wami stało?

I, łkając, przypadł mu do piersi.

— Jędreku! żyjesz jeszcze? robaczku mój najmilejszy! Jakiś ty blady... jaki nędzny! Hej, Boże mój, Boże!

Długo obejmowali się ojciec z synem, płacząc. Wreszcie chłopiec spytał:

— Jakim sposobem przybyliście tutaj, ojcze?

— Krzyżacy dali mi słowo rycerskie, że mi pozwolą porozmawiać z tobą. Jam im poprzysiągł, że cię nie zatrzymam — na słowo rycerskie przysięgałem.

— Powrócę do nich, mój ojcze — takim szczęśliwy, że mogę zobaczyć się z tobą — i pożegnać.

— Co ci kazali powiedzieć, mój synu? Pewno, żebyś mnie do zdrady namawiał?

Jędreku zamyślił się.

— Biedny mój ojcze — rzekł sobie w duchu — z lekkim sercem pójdiesz na bój z Niemcem. Jędreku ci nic nie powie!

Nie odpowiadał więc nic, jeno całował ręce ojcowskie.

— Jędreku, mów na Boga! Co ci kazali krzyżacy powiedzieć?

— Ha, niech i ja zginę za ojczyznę! — pomyślał mały bohater i rzekł, zwracając się do ojca:

— Kazali mi... namawiać was do zdrady... żebyście przeszli do nich, a opuścili króla Władysława.

Pan Krzysztof spojrzał na syna.

— I nic więcej?... o tobie... nic... nie mówili?

Głos rwał się w gardle staremu rycerzowi. Jego ojcowskie serce przeczuwało, co wielki mistrz kazał mu powiedzieć, i drżał z bólu na samą myśl.

Ale Jędreku odrzekł bez wahania:

— Nie, nic więcej, ojcze.

— Nic więcej? — spytał z ulgą rycerz.

— Nic, jeno... że wam byłoby lepiej przy nich, że gdybyście przeszli do nich, toby wam oddali i złupione nasze klejnoty, i uwolnili mnie z więzienia.

— Więżą cię? mordują? — dopytywał rycerz z bólem.

— Nie, ojcze, jeno na zamku swoim w Malborgu trzymają — skłamał Jędreku bez wahania.

— Oddaliby ciebie? — spytał znowu rycerz.

— Nie! nie wiercie im, ojcze. Oni tak tylko mówili, żeby was przeciągnąć.

— Wiem, dziecko moje, że krzyżak kłamie, jak pies! Synu mój! jeżeli polegnę jutro w krwawym boju...

— Nie, ojcze! Bóg da zwycięstwo. Zobaczy-

my się po bitwie — ty zwycięski, a ja wolny! Od-
bierzecie mnie Niemcom.

Tu głos Jędrkowi zadrżał. Płacząc, znów
przytulił się do piersi ojca.

— Czas już wracać, żegnajcie, ojcze!

Ucałował jego ręce, objął kolana i szybko
wybiegł przed gospodę, bo łkanie rozrywało mu
piersi.

— Ostatni raz! więcej już nie zobaczę ojca! —
myślał.

Knechci otoczyli go zwartym łańcuchem —
i tak wrócili do obozu. Tu wesołość panowała
wielka, obóz rozbrzmiewał gwarem i okrzykami
uczłujących Niemców; kielichy krążyły dokoła,
rycerze śmieli się i dowcipkowali. Zuchwały krzy-
żak pewny był zwycięstwa.

— Cóż, powiedziałeś ojcu? — spytał kom-
tur Jędrka, gdy ten stanął przed nim.

— Nic nie powiedziałem.

— Dlaczego?

— Bo się nie boję śmierci! Wolę zginąć, niż
namawiać do zdrady!

Twarz komtura posiniała z wściekłości.

— Zginiesz jutro! Zginiesz, patrząc na trupa
twego ojca! Podłe szczenię polskie! — klął za-
gniewany.

Chłopiec ani drgnął, tylko usta jego poru-
szyły się cichą modlitwą.

A krzyżacy uczłowali.

Tymczasem w obozie polskim panował uro-
czysty spokój. Rycerze poważnie gotowali się na
bitwę.

Wojsko całe spowiadało się, żeby bez grze-

chu na duszy iść na bój śmiertelny za ziemię uko-
chaną.

O zmroku zagrała trąbka.

Otaczający króla rycerze wybiegli przed na-
miot. Po chwili wrócili z wieścią:

— Poseł od wielkiego mistrza do króla.

— Wprowadzić go — rozkazał Jagiełło.

Pyszny krzyżak stanął przed Władysławem.

— Pan mój, wielki mistrz zakonu krzyżac-
kiego, Ulrich von Jungingen, przysyła tobie, naj-
jaśniejszy panie, dwa miecze — jeden dla ciebie,
drugi dla brata twego, Witolda, wielkiego księcia
na Litwie i Rusi, abyście mieli czem nas zwycię-
żyć — rzekł szyderczo.

Rycerze polscy porwali się z oburzeniem za
miecze.

— Nie braknie nam broni — odpowiedział
król spokojnie — lecz i ta się przyda, by poniżyć
pysznych i dumnych. Zanieś tę odpowiedź twe-
mu panu.

Krzyżak wyszedł.

Nastała noc. Jędrak nie mógł zmrużyć oka.

— Ostatnia to moja nocka — mówił cicho
i patrzył na księżyc, na gwiazdy.

Zaczęło szarzeć, zbliżał się świt, wreszcie
wzeszło słońce.

— Żegnaj mi, słoneczko jasne! — szepnął
chłopiec smutnie — już cię nie zobaczę.

Dzień wstawał ciepły, pogodny, Grunwald—
Zielone Pole — kąpało się w blaskach...

Nagle w obozie polskim zawarczały bębny,
zagrzmiały kotły, zagrały trąbki — wojsko ruszyło
do ataku. Nad niem powiewały purpurowe cho-

ragwie z piastowskimi Orłami — błękitne litewskie, z Pogonią, błyszcząły w słońcu zbroje rycerzy, a z piersi wyrwała się pieśń, co zawsze Polakom w boju towarzyszyła, i płynęła hen daleko po Zielonem Polu:

Bogarodzica Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!...

— Idą, idą! — pomyślał Jędrrek.

Serce zabiło mu radośnie, spojrział w górę, by podziękować Bogu. Wtem, o dziwo! Widzi w powietrzu dwie świetlane postacie, z chmur utkane — to święci patronowie kraju Wojciech i Stanisław błogosławią wojsko.

Ruszyli także i krzyżacy. Starcie było okropne. Z jednej strony tędzy wojownicy, zahartowani w bitwach, uzbrojeni doskonale, kwiat rycerstwa Europy; z drugiej — nieliczny lud, co za ziemię swoją i prawdę szedł na bój.

Krzyżakami dowodził sam wielki mistrz, polskim rycerstwem Zyndram z Maszkowa; Litwinami, Rusią i Tatarami — ksiązę Witold, brat Jagiełły. Najwyższe dowództwo spoczywało w ręku króla Władysława.

Powoli krzyżacy zaczęli łamać szyki polskie. Król Władysław o mało co sam życia nie postradał, Zbigniew Oleśnicki zasłonił go swą szablą od niechybnej śmierci. Krzyżacy zwyciężali. Napróżno król rzucał się w wir walki, napróżno Witold i Ziemowit, ksiązę płocki, cudów odwagi dokazywali, a Zawisza Czarny czynił straszne spustoszenia w szeregach nieprzyjacielskich — Niemcy zaczęli brać górę...



...tylko Krzysztof z Wilezej Góry rozpacział, łamiąc ręce nad trupem swego jedynego syna.

Już pycha zapanowała w ich sercach, gdy wtem szala zwycięstwa przechyliła się na stronę Polaków. Pękły szyki krzyżackie, Niemcy zaczęli uciekać. Niektórzy z nich wołali z zabobonnym strachem:

— Wściekły Wilk! Wściekły Wilk!

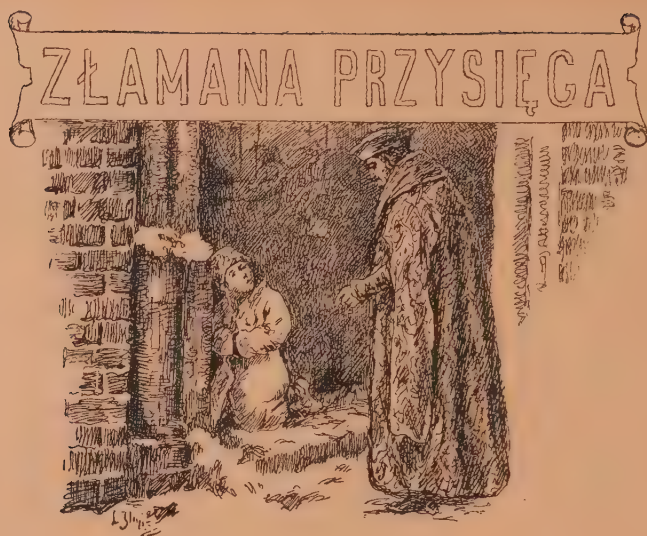
To Krzysztof z Wilczej Góry wpadł na nich z boku ze swoją drużyną...

Kłeska krzyżaków była bez miary. Poległ wielki mistrz Ulrich von Jungingen z najprzedniejszem rycerstwem zakonnem. Wszystkie chorągwie krzyżackie dostały się w ręce zwycięzców.

Złamana została potęga zakonu, ukarana jego złość i pycha, pomszczone krzywdy Polaków.

Cieszył się naród cały, cieszył się król i wojsko, tylko Krzysztof z Wilczej Góry rozpaczał, łamiąc ręce nad trupem swego jedyne go syna. Umarł on, przeszyty mieczem zdradzieckiego krzyżaka w chwili, gdy z ręki Wściekłego Wilka padł pierwszy krzyżak.

Umarł jak bohater!



Powiadka z czasów Władysława Warneńczyka.

Po śmierci Władysława Jagiełły na tron wstąpił dziesięcioletni syn jego, Władysław III Warneńczyk (1434—1444). Małemu królowi pomagał w rządach Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski.

Polska dosięgła wówczas takiej potęgi, iż Czesi i Węgrzy ofiarowali jej swe korony. Król jednak nie chciał przyjąć czeskiej korony, natomiast chętnie zasiadł na tronie węgierskim (1440), by wspólnymi siłami bronić Europy od Turków. Walcząc z nimi, młody a bohaterski król zginął pod Warną.

Był mroźny dzień grudniowy. Śnieg białym całunem okrył ulice Krakowa, skrzypiał pod nogami przechodniów.

Jedną z bocznych ulic szedł mały chłopiec;

twarz mu zsiniała z zimna, ręce i nogi miał odmrożone. Ubrany był w szary, barani kożuszek i czapkę baranią na głowie. Na plecach niósł małe zawiniątko. Przechodnie nie zwracali wcale uwagi na to, że dziecko może za chwilę paść i umrzeć z głodu i zimna.

Chłopiec szedł coraz dalej. W oczach jego malowała się rzewna skarga i niema prośba o litość, o pomoc, o kawałek chleba, o kącik przy ogniu...

Wyszedł na rynek, obejrzał się, zobaczył mury kościoła Najświętszej Marji Panny. Podszedł, klęknął przed zamkniętymi drzwiami i zaczął się modlić półgłosem:

— Boże mój, daj mi umrzeć, żebym mógł iść do matysi. Boże mój! tak mi tu źle, tak zimno! ach, jakbym chętnie poszedł do matysi, co leży tam, na starowolskim cmentarzu.

Powstał z klęczek.

— Poco ja tu przyszedłem?... e... powrócę do nas, na cmentarz.

Chciał się wrócić, lecz nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przykucnął pod drzwiami kościoła. Nie zauważył nawet, że jeden z przechodniów, który usłyszał jego modlitwę, stał przy nim, przypatrując mu się pilnie.

— Gdzie mieszkasz, mały? — spytał go łagodnie.

— W Starej Woli.

— Bój się Boga, toć to parę mil od Krakowa! — zawołał przechodzień.

Lecz nie pytał już dalej, widział, że chłopczyna drży z zimna, że traci przytomność.

Zdjął z siebie bogaty płaszcz i otulił nim dziecko.

— Chodź za mną — rzekł — niedaleczko, kawałek drogi.

Głos jego, choć łagodny, brzmiał stanowczo; widać było, że przywykł do wydawania rozkazów, że nie można mu się opierać.

Chłopiec z wysiłkiem powłókł się za nieznanym.

Weszli na jakiś wielki dziedziniec, potem do ciepłej komnaty. Ogromne znużenie opanowało malca... ściany, ławy, stoły zaczęły mu wirować dookoła...

— Co mi jest? widać osłabłem bardzo — pomyślał sobie.

Stracił przytomność... Po chwili dopiero poczuł, że go położono na miękkim posłaniu, że mu rozcierają śniegiem skostniałe ręce i nogi, że mu dają do picia coś ciepłego, rozgrzewającego; że go ułożono wygodnie, okryto, otulono... Myśli zaczęły mu się plątać w głowie. Wkrótce zasnął snem kamiennym.

Gdy się obudził na drugi dzień, był już późny ranek. Słońce zaglądało ciekawie do komnaty, ślizgało się po kobiercach, rozesłanych po podłodze, oświecało bogate, jedwabne opony, któremi całe ściany były okryte.

— Gdzie jestem? — pomyślał chłopiec. — Jak tu ślicznie, jak bogato!

Po chwili wszedł do komnaty młody człowiek w sukni duchownej: był to ksiądz Michał. Podszedł do chorego chłopca.

— No, cóż, jak się masz? Zdrów jesteś?

— Zdrow, ino mi głowa cięży okrutnie, że się podnieść nie mogę.

— Leż sobie, a nie próbuj wstawać, nie można jeszcze. Powiedz mi, jak się nazywasz? — rzekł ksiądz, poprawiając mu poduszki.

— Janko... ale gdzie ja jestem, panie? — spytał nieśmiało.

— U księdza biskupa krakowskiego, Zbigniewa Oleśnickiego.

— O Jezu! — zawołał zdumiony Janko.

— Co się tak dziwujesz?

— Panie, czy to ten sam biskup, co Jagielle pod Grunwaldem życie uratował? co naszemu małemu królewiczowi Władysławowi pomógł tron objąć?

— Ten sam.

— O jej! toć ksiądz biskup krakowski największa po królu figura! Gdy król Władysław teraz na Węgrzech siedzi, Zbigniew Oleśnicki całym krajem rządzi! o jej!

Ksiądz uśmiechnął się wesoło.

— Wielki to człowiek nasz ksiądz biskup — rzekł żartobliwie — a jednak zmarzłych bąków po ulicach zbiera.

— To mnie sam biskup znalazł i płaszczem swym okrył? To on był?

— A jakże! ledwieśmy cię wczoraj uratowali. Dzisiaj ksiądz biskup zajęty, jednak polecił mi wypytać cię, skąd jesteś i co tu robisz?

— Ojczym mnie wypędzili z domu.

— Jakże to? mów! — zawołał ksiądz.

— Jestem ze Starej Woli. Ojciec mój był sobie skromnym szlachcicem. Odumarł mnie w dzie-

ciństwie, nie pamiętam go wcale. Pani matka została ze mną sama, lecz nie mogła dać sobie rady ze złym sąsiadem, z gospodarką, z kmiećmi i wyszła drugi raz za mąż.

— Za kogo?

— Za Dobromira z Podgórze.

— No i cóż dalej?

— Przed miesiącem matusia umarła...

Tu łzy popłynęły po twarzy chłopca, ale po chwili opanował się i zaczął mówić:

— Na łożu śmiertelnem matusia prosiła Dobromira, żeby się mną opiekował, żeby mi oddał, jak dorosnę, Starą Wolę. Obiecał; przysiągł na Krzyż święty i na Ewangelję, a po miesiącu wypędził mnie. Poszedłem w świat... gdzie mnie oczy poniosły.

Ksiądz przeżegnał się oburzony.

— Pan Bóg skarże krzywoprzysięcę! — rzekł. — Opowiem to księdzu biskupowi, a tobie tymczasem przyślę posiłek. Pewność głodny?

To mówiąc, ksiądz Michał wyszedł pośpiesznie przygotować posiłek malcowi.

Janko zaczął się przyglądać ławom, obijanym bławatem, ciężkim skrzyniom z kunsztownemi okuciami, co po rogach stały. Środek komnaty zajmował stół, pięknie rzeźbiony, przykryty jedwabnym haftowanym obrusem. Łoże, na którym leżał Janko, było również rzeźbione, przed niem była rozciągnięta skóra z białego niedźwiedzia.

— Bogato tu, toć nie dziwota, wielki to człowiek ten ksiądz biskup. Gdy go obaczę, padnę mu

do nóg, podziękuję, że mi życie ocalił, poproszę, żeby nie opuszczał sieroty.

I łzy znowu zabłyśły w oczach chłopczyny.

Zaraz na drugi dzień Janko zobaczył biskupa, lecz nie padł mu do nóg, ruszyć się nie mógł z miejsca, taki był chory i osłabiony. Zbigniew Oleśnicki wszedł szybko do komnaty. Janko ujrzał wysokiego męża o dumnym spojrzeniu. Wyniosłe jego czoło okazywało mądrość niepospolitą, cała postać tchnęła energją i siłą. Był to człowiek, przed którym zginały się karki i chyliły głowy, człowiek, który umiał podtrzymać wielkie dzieło Jadwigi i Jagiełły: połączenie Litwy z Polską.

To też nic dziwnego, że naszemu Jankowi mocno biło serduszko, gdy przed nim stanął ksiądz biskup.

— Cóż, jak się czujesz? — spytał go łagodnie. — Podziękuj Bogu, chłopcze. Uratowała cię twoja modlitwa tam, przed kościołem. Gdybym jej nie usłyszał, nie spostrzegłbym nawet ciebie, skulonego od zimna pod drzwiami. Ksiądz Michał powiedział mi o twym ojczymie. Zajmę się tem, gdy wojnę skończymy. Teraz czasu nie mam. No, bądź zdrow, mały.

Janko ze łzami wdzięczności ucałował jego ręce.

Gdy ksiądz biskup wyszedł, chłopiec zwrócił się do diakona, siedzącego przy jego łożu.

— Jaka to ma być wojna? Dlaczego nasz król ciągle na Węgrzech siedzi?

— Dlatego, że Turcy nie dają nam spokoju. O, bo nasz młody pan przyjął koronę węgierską,

żeby całą Europę i chrześcijaństwo przed Turkami ochronić.

— Przed Turkami? Co to za Turcy?

— Turcy, to naród azjatycki, niechrześcijański, wyznają oni wiarę mahometańską. Przyszli z Azji Mniejszej, zawojowali cesarstwo Bizantyjskie, zdobyli Konstantynopol i zajęli cały półwysep Bałkański. Gnębili chrześcijan, z kościołów robili sobie meczety, półksiężyc czczą, zamiast krzyża.

— A chrześcijanie pozwalają na to?

— Cóż mają robić? Biją się z nimi oddawna. Wszystko zachodnie rycerstwo zebrało się, aby ich pobić, lecz Turcy zwyciężyli ich pod Nikopolisem. Tylko jedna Polska oprzeć im się może, i nasz król Władysław, choć młody bardzo, choć dziecko prawie, już pokonał ich kilka razy.

Serduszko Janka rosło dumą, że to jego król całą Europę broni; chciał jeszcze pytać księdza, gdy drzwi się otworzyły, i do komnaty wszedł człowiek skromnie odziany.

— Maciek! — zawołał Janko radośnie.

Przybyły rzucił się do łóża chorego, objął jego stopy.

— Słoneczko moje jasne! paniczu mój złocisty! — zawołał. — Cztery dni szukałem was zafrasowany! Wreszcie znalazłem! Cóż to, chorzy jesteście, paniczu, skarby moje?

— Kto to taki? — spytał zdziwiony ksiądz Michał.

— To nasz włodarz — odpowiedział Janko. — Jakto, Macieju, pan was puścił?

Maciej odpowiedział skwapliwie:

— Nie mam żadnego pana, ino was, słoneczko moje jasne! — rzekł z uniesieniem. — Służyłem waszemu ojcu, waszej matce i wam służyć będę! A tego krzywoprzysięzcę, tego zbója, żeby...

Tu przerwał, bo ksiądz Michał położył mu rękę na ustach.

— Nie knijcie, człowieku — rzekł do Macieja. — Zostawcie Bogu karę i wymiar sprawiedliwości. Idźcie do kuchni, tam wam dadzą jedzenie i pomieszczenie. Zostaniecie przy paniczu.

Maciej objął księdza za nogi.

— Bóg wam zapłać, panie, i księdzu biskupowi, żeście mi panicza ratowali...

Upłynął miesiąc cały. Janko powoli zaczął przychodzić do zdrowia. Wciąż mieszkał u księdza biskupa. Poczciwy ksiądz Michał opiekował się nim, jakby rodzonym bratem. Maciej też nie odstępował panicza. Mimo to, chłopiec z trwogą i niepokojem myślał o przyszłości. Zbigniew Oleśnicki nie miał czasu zająć się sprawą Janka, bo młody król i kraj cały gotował się do wojny z Turkiem.

— POCO król rozpoczyna teraz tę wojnę? — pytał Janko księdza — przecież król im zaprzysiągł wieczny pokój?

— Tak, lecz papież zwolnił króla od przysięgi. Cała Europa ma zwrócone oczy na naszego młodego króla, błagając go, żeby ratował chrześcijaństwo. Podobno zachodnie rycerstwo ma się przyłączyć do nas.

— Czy wiecie, dobry księże, że Maciej także

poszedł na Turka? Przedwczoraj pożegnał mnie i mówił, że się zaciąga do chorągwi.

— Wiem, polecał mi ciebie ze łzami w oczach.

— Bardziej go jeszcze szanuję za ten zapal do wojny.

— Dzielny to człek, choć prosty. Słyszałem, że i ojczym twój także wybrał się na wojnę.

— Co! Dobromir? — zawołał Janko.

— Tak nam doniesiono — odpowiedział ksiądz Michał. — Musisz więc pozostać u nas do końca wojny. Dopiero, gdy Dobromir wróci, ułoży się jakoś twoja sprawa, a i ksiądz biskup będzie miał wtedy więcej czasu.

Czas Jankowi zaczął płynąć bardzo jednostajnie. Ciągłe prawie przebywał z księdzem Michałem, który zaczął go uczyć trochę, bo chłopiec nawet czytać nie umiał, co było zupełnie naturalne: w owych czasach rzadko który szlachcic posiadał sztukę czytania i pisania.

Od czasu do czasu dochodziły do Krakowa wieści o wyprawie. Wieści donosiły, że Władysław jest już na samem południu, że już Dunaj przeszedł. Przewidywano łatwe zwycięstwo.

— Turcy, bezpieczni, że pokój zawarli, nie spodziewają się niczego — mówił ksiądz Michał do Janka.

Nagle wieści te urwały się. W Krakowie, w całym kraju, ba, nawet w całej Europie z niecierpliwością oczekiwano wiadomości od króla.

Pewnego wieczoru Janko siedział z księdzem Michałem przy kominku. Pora była już późna.

— Hej! pewno król Turków dobrze już tłucze, a może wielkie zwycięstwo już odniósł — rzekł niecierpliwy chłopiec.

Ksiądz nie zdążył odpowiedzieć, gdy drzwi się otworzyły, i na progu ukazała się ciemna postać w łachmanach prawie.

— Czego tu chcecie? — spytał ksiądz Michał.

— Boże! przecież to Maciek! — krzyknął Janko, przypatrując się uważnie przybyłemu.

Maciek runął mu do stóp i załkał głośno.

— Co słyszać? czy z wojny wracasz? mów! — wołali niecierpliwie Janko i ksiądz Michał.

— Z wojny! Nieszczęście okropne. Turcy nas zwyciężyli. Król zabity... pod Warną! całe wojsko rozproszone...

— Boże mój! — krzyknęli oba ze zdumieniem i boleścią.

— Mów, jak to było? — rzekł ksiądz.

— Ano, Turcy, choć się nie spodziewali zwycięstwa, ale nie stracili odwagi. Spotkaliśmy się z nimi pod Warną. Naszych bodaj nawet więcej było. Turcy zatoczyli po swojemu — półkolem. Król pierwszy rzucił się na pogan, my za nim. Bitwa wrzała zażarta. Nasi już byli pewni zwycięstwa, gdy wtem Turcy na palu podnoszą jakąś głowę. Patrzymy — Jezu miłosierny! toć to głowa naszego króla!... Taki nas strach, żal i przerażenie opanowało, żeśmy się dali janczarom ¹⁾ rznąć jak barany.

— Drogo zapłaciła Polska swą nową zasługę wobec chrześcijaństwa i świata, bardzo drogo, bo

¹⁾ Janczarowie — gwardja turecka.

życiem ukochanego króla — rzekł ksiądz z goryczą.

— Mój Boże! Taki dobry król padł, jak ten



...Król pierwszy rzucił się na pogan, my za nim.

kwiat skoszony! dwadzieścia wiosen miał pono! —
załkał Maciek. — Widziałem go: śliczny, jak ma-
lowanie, odważny, wspaniały, jak orzeł!

— Bohater! — zawołał Janko i posmutniał.

— Ale wiecie co, paniczu, jakim się cofał przed poganami, patrzą, jakiś ranny leży pod drzewem i jęczy. Nachylał się, a to Dobromir. Poznał mnie, pytał o was, kazał was przeprosić, polecił oddać wam Starą Wolę, a nawet i swoje Podgórze. Oto jego sygnet na znak. Potem rzekł:

— Skarał mnie Pan Bóg za krzywoprzysięstwo — i wkrótce skonał.

— Niech mu Pan Bóg policzy, że z ręki pogan za wiarę świętą poległ i niech mu przebaczy! — rzekł wzruszony Janko.

Ksiądz Michał z rozrzewnieniem spojrzał na szlachetnego chłopca.

— Ludzie utrzymują — rzekł Maciek przyciszonym głosem — że i naszego króla Pan Bóg skarał za złamaną przysięgę. Bo przysiągł Turkom na Ewangelię świętą, że pokoju dotrzyma.

— Tak, lecz przecież papież zwolnił go od przysięgi — rzekł ksiądz Michał.

— Zawszeć to się nie godzi... Ot i kara Boska! — powiedział Janko.

— Nie godzi się łamać przysięgi, choćby nawet Turczynowi była dana — szepnął Maciek.

— Tak, kara Boska! — powtórzył cicho ks. Michał.

Posmutnieli wszystko troje, posmutniał też i Kraków, do którego wkrótce przyszła wieść żałobna, posmutniała cała Polska.

— Poległ nasz król! nasze słoneczko jasne, nasz bohater ukochany!

A ciało młodego króla-bohatera na obcej spoczywa ziemi, i dotąd pod Warną wskazują Turcy i Bułgarzy na starożytny grobowiec, gdzie,

jak wieść niesie, pogrzebano jakiegoś króla bez głowy...

Nie w królewskich grobach na Wawelu, jeno gdzieś na Bałkanie leżą nieuczczone szczątki pierwotnego syna Jagiełłowego, Władysława Warneńczyka.

PANICZ I CHŁOPSKE DZIECKO



Powiaстка z czasów Jana Olbrachta.

Po śmierci Władysława Warneńczyka obrano królem *Kazimierza Jagiellończyka* (1444—1492). Był to król nadzwyczaj energiczny. Pobił krzyżaków, odebrał im Pomorze i Prusy i wielkiego mistrza zmusił do złożenia hołdu. W statutach Nieszawskich dał szlachcie udział w rządach, mianowicie: od tego czasu król polski nie mógł wydawać nowych praw, ani ogłosić wojny bez zgody sejmików szlacheckich.

Miał sześciu znakomitych synów: jeden z nich, Władysław, był królem czeskim i węgierskim, drugi — Kazimierz, został policzony w poczet świętych; trzech z nich było królami polskimi (Olbracht, Aleksander, Zygmunt), a ostatni — Fryderyk, został biskupem.

Po śmierci dzielnego króla obrano jego syna — *Jana Olbrachta* (1492—1501). Król ten pozbawił kmieci prawa przechodzenia z miejsca na miejsce i poddał ich szlachcie. W wojnie z Mołdawą poniósł wielką klęskę.

Straszna burza szalała nad Wisłą: bił piorun za piorunem, błyskawice przerzynały czarne niebo, wiatr schylał drzewa do ziemi, łamał gałęzie, a Wisła rzucała niespokojnie swemi wodami, kłębiąc je i przelewając gwałtownie wzdłuż i wszerz.

Niedaleko drogi, która brzegiem rzeki biegła do Sandomierza, stała napół rozwalona szopa. W szopie tej spoczywało kilku podróżnych. Jeden z nich w pięknym kontuszu jedwabnym siedział na pieńku. Niecierpliwie marszczył krzaczaste brwi i od czasu do czasu przesuwiał ręką po siwych włosach.

Obok niego stał młody chłopiec w jasnym kubraczku. Wysoki, zgrabny, śmiało patrzył na niebo czerwone od błyskawic. Gdy zbliiska piorun uderzał, chłopiec kreślił na piersiach znak krzyża świętego i powtarzał cicho za siwym mężem: »A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami«.

Prócz nich w szopie było jeszcze trzech pachołków, którzy trzymali za uzdy strwożone konie.

— Ach, dziaduniu, kiedyż ta burza przejdzie? — rzekł wreszcie chłopiec niecierpliwie.

— Niedługo zapewne, już gromy ustają.

— Tatuś wyglądają tam niespokojni... już późna noc.

— Trudno w taką burzę jechać, mój Jurku.

Wtem dziadunio zaczął się pilnie przysłuchiwać.

— Słyszysz, Jurku?

— A jakże, coś jakby płacze.

— To jakiś zły duch koło szopy się uga-
nia! — zawołał jeden z pachółków z trwogą.

— A może wiedźma? — rzekł drugi.

Płacz stawał się coraz wyraźniejszy.

— To dziecko płacze! — zawołał Jurko i wy-
biegł z szopy, nie zważając na ulewę, ani na
pioruny.

— Zuch — szepnął dziadek i pokręcił wężem
z zadowoleniem.

— O mój Boże! Panicza pewno źle zma-
miło — rzekł szeptem pachółek.

— Nie plóćbyś bajów! — zawołał groźnie
dziadunio — weź lepiej głównię z ogniska i po-
święć paniczowi; stań z nią we wrotach szopy!

Po niedługiej chwili wrócił Jurko zmoczony,
zziajany, za rękę ciągnąc niższego trochę od sie-
bie, skulonego i zanoszącego się od płaczu chłopca.

— Jak możesz wychodzić w taką ulewę,
mógłbyś jeszcze zbłądzić w ciemności — rzekł
dziadunio surowo do wnuka.

Jurko pokornie pocałował go w rękę.

— Nie gniewajcie się, musiałem przecie ra-
tować nieboraka.

Dziadunio przycisnął do piersi wnuka. Jur-
ko, uszczęśliwiony, że się dziadek już nie gniewa,
uśmiechnął się, wskazując na chłopca.

— Czegóż ty płaczesz, mały? — spytał siwy
mąż przyprowadzonego znajdka.

Było to chłopskie dziecko — chude, szczupłe,
odziane w parcianą świtkę i podartą zgrzebną ko-
szulę. Chłopiec z trudnością starał się powstrzy-
mać łkanie.

— O mój Jezusiczku! ojciec... zatoneł.

— Gdzie? Kiedy? — zawołał przerażony dziadunio.

— We Wiśle...

— Dawno?

— Jeszcze widno było, jak tylko burza się zaczęła...

Gwałtowne łkanie wstrząsnęło piersią chłopca.

Dziadunio smutnie pokiwał głową.

— A matkę masz? — spytał.

— Nie mam — odparło chłopię.

— O, i ja także nie mam matki! — zawołał Jurko żałośnie.

Ogarnęło go ogromne współczucie dla tego biednego, obszarpanego, chłopskiego syna.

— Weźmiemy go do Zaborowa, dobrze, dziaduniu? — szepnął Jurko dziadkowi do ucha.

— Jeżeli ci ojciec pozwoli. A teraz szykujcie się w drogę, już burza ustaje!

— Pojedziesz z nami, damy ci konia — rzekł Jurko do łkającego sieroty.

Chłopiec się nie opierał, zabrali go więc i ruszyli w drogę.

W niecałą godzinę przybyli do domu. Jurko przytulił się do ojca i prosił bardzo gorąco o pozwolenie, by znajdek mógł zostać w Zaborowie.

— Dobrze, dobrze, niech zostanie, niech ci służy, jeżeli chcesz, moje dziecko — odpowiedział pan Zaborowski, szczęśliwy, że żadna zła przygoda nie spotkała w taką straszną burzę jego kochanego jedynaka i ojca staruszka.

Gdy nazajutrz Jurko ubrał się i zjadł śniada-

nie, ojciec kazał zawołać sierotę. Chłopczyna wszedł nieśmiało do komnaty. Powieki miał czerwone od płaczu, na bladej twarzyczce malowała się ogromna żałość, wielkie niebieskie jego oczęła smutnie patrzyły przed siebie, a zwichrzone płowe włosy w nieładzie spadały mu na plecy.

— Jak się nazywasz, chłopcze? — spytał go pan z Zaborowa.

— Krzych!

— Opowiedz nam, jakim sposobem ojciec twój utonął.

— Pojechali ojciec przed burzą tratwą po Wiśle. Kazali mi czekać na siebie na brzegu, niedaleko tej szopy, co to panicz mnie należeli. Czekalem. Naraz widzę... fala idzie okrutna, zbiera się na burzę. Zaląkłem się. Patrzę — a tu ojciec płyną na tratwie, a tratwa cała wodą się zalewa. Wtem zaczął dąć wicher. Ściemniło się. Tratwa zaczęła tańczyć. Wiatr ją wegnał na wir. Zakręciła się, przechyliła... i popłynęła już sama... ojca fala zmiotła.

— Daleko to było od brzegu?

— Oj, daleko. Ledwom okiem sięgnął, i głęboka okrutna.

Tu znowu łkanie wstrząsnęło piersią sieroty.

— A pocóż ojciec wyjechał w taki czas niepewny?

— Pan kazał.

— To ojciec twój był flisakiem?

— Woził zboże po Wiśle — do Warszawy, do Płocka, do Torunia, a jak król Kazimierz odebrał krzyżakom Gdańsk, to i do samego Gdańska jeździł.

— Dziaduniu, jaki to Kazimierz odebrał Gdańsk krzyżakom? — pytał Jurko.

— Kazimierz Jagiellończyk, ojciec naszego króla, a brat Warneńczyka. Zabrał Niemcom Pomorze i Prusy, zmusił ich do hołdu. Wziął im stolicę ich, Malborg, i Gdańsk ¹⁾ — teraz cała Wisła w naszych rękach.

— Daj spokój, Jurku, z pytaniami. Krzych! opowiadaj dalej — rzekł pan Zaborowski.

— Ano, jeździli ojciec po Wiśle... Aż tu w zeszłym roku król Olbracht nie pozwolił chłopom przenosić się z miejsca na miejsce, poddał ich szlachcie. Ojciec mój stracili wolność, musieli słuchać rozkazów dziedzica... a wczora kazał pan ojcu jechać do Sandomierza.

— Burza będzie, jaśnie panie — prosił się ojciec.

— Nic ci się nie stanie — odpowiedział dziedzic — nie spłócze cię burza. — Zagroził ojcu batogami i kazał jechać.

— Niegodziwy człowiek! — zawołał dziadunio.

Krzych zacisnął pięści i zapłakał.

— Nie płacz, zostaniesz przy mnie — rzekł mu Jurko.

— Oj, paniczu, nie zobaczę już ojca, sierotam ja biedny na wieki! — zawołał chłopiec i zaczął łkać głośno.

Jurko podszedł doń, objął go i przycisnął do piersi głowę chłopskiego syna.

¹⁾ Malborg leży nad Wisłą, obecnie nazywa się Marienburg; Gdańsk leży przy ujściu Wisły do morza Bałtyckiego.

— Paniczu, co czynicie? — szepnął chłopiec, obejmując stopy Jurka.

II.

Upłynęło kilka miesięcy. Krzych kochał swego panicza i służył mu pilnie; Jurek również polubił chłopca serdecznie, nie pogardzał ani pomiatał swym małym sługą. Razem jeździli po polach i lasach, polując na lisy i zające, strzelali do celu, uczyli się robić szablą. Nieraz Krzych opowiadał paniczowi o swych wędrówkach flisaczych, o Wiśle, o morzu, o Gdańsku.

— Nie uwierzycie, paniczu, jak się Prusacy cieszą, że do Polski należą. Gnębił ich krzyżak okrutnie, to też sami Prusacy przyszli prosić króla Kazimierza, żeby ich wyrwał z rąk Niemców.

— O czem rozprawiacie? — spytał Jurka nadchodzący ojciec.

— O krzyżakach.

— Niestraszni już oni teraz, złamana ich potęga, hołdują nam przecie. Czeka nas teraz inny wróg: Turcy, Tatarzy, Mołdawa.

— Przecież Mołdawa także nam hołduje — przerwał Jurko.

— Tak, lecz gospodar mołdawski, Stefan, zdradza nas. Król przeto idzie nań z wojskiem ukarać go.

— Czy i wy, ojcze, idziecie z nimi?

— Naturalnie. W tych dniach jadę do Krakowa.

To mówiąc, pan Andrzej Zaborowski uściśnął syna serdecznie i poszedł wydawać rozkazy, aby gotowano się do drogi.

— Za kilka lat i ty ze mną wyruszysz na wroga — rzekł na odchodnym do syna.

Jurko posmutniał.

— Chciałbym iść już teraz na wojnę, ale ojciec mnie nie weźmie, prawda, Krzychu?

— Prawda, paniczu.

— Przecież ja już dobrze strzelam i szablą macham, czy nie tak, Krzychu?

— Rzetelna prawda, paniczu.

— I mógłbym iść na wojnę?

— Z pewnością, paniczu.

Cały dzień Jurek chodził zamyślony. Wieczorem coś bardzo długo szeptał ze swych wier-
nym Krzychem. Sierota odradzał mu, perswado-
wał, aż wreszcie obaj zgodnie zaczęli snuć plany
na przyszłość.

— Uciekniemy do Krakowa, stamtąd już
mnie ojciec nie zawróci.

— Ale jak się dostać do Krakowa, paniczu?

Zamyślili się obaj. Zdejmowała ich coraz
większa chętka pokosztowania trudów wojen-
nych. Dziwnie jakoś zaczęło im się szczęścić.

Jurko wyprosił u ojca dwie szable lekkie
i broń doskonałą. Pan Andrzej, nie podejrzywa-
jąc niczego, z ochotą dał mu żądane przedmioty.

— Niech się wprawia z młodą we władaniu
bronią — rzekł do siebie.

Najgorsza rzecz była z ucieczką do Krako-
wa. Do stolicy było bardzo daleko, droga długa
i niebezpieczna. Lecz i tu los uśmiechnął się chłop-
com: dziadunio zgodził się jechać z Jurkiem
i Krzychem, aby razem odwiedzić pana Zaborow-
skiego do samego Krakowa. Pan Andrzej z po-

czątku był przeciwny temu projektowi, lecz wkońcu uległ prośbom jedynaka i pozwolił.

Po upływie tygodnia, z Zaborowa wyruszył dzielny poczet wojska z panem Zaborowskim na czele. Podróż była dla chłopców pełna uroku. Zasmakowali w żołnierskich niewygodach. Czas biegł im szybko, i ani się obejrzeli, jak przybyli do stolicy. Przyjechali na dwa dni przed wyruszeniem wyprawy. Jurek z Krzychem zwiedził cały gród w towarzystwie dziadunia i ojca.

— Gdy ojciec odjedzie, pokażę wam jeszcze dużo pięknych rzeczy — mówił dziadunio.

Jurek wtenczas mrugał na Krzycha, a ten uśmiechał się do panicza znacząco.

Nareszcie wojska z królem na czele wyruszyły z Krakowa. Pan Andrzej pożegnał uściskiem ojca, pobłogosławił swego jedynaka, przycisnął go do piersi, Krzycha pogłodził po czuprynie.

— A pilnuj mi panicza! — rzekł.

Krzych poczerwieniał i spuścił oczy.

Było to rankiem o świcie.

Gdy w południe dziadunio chciał zaprowadzić Jurka na grób św. Stanisława na Skałce, nie mógł się chłopców dowołać. Długo ich szukał niespokojny, wreszcie domyślił się prawdy.

— A smyk niegodziwy! — myślał szczerze zmartwiony.

Tymczasem Jurko i Krzych jechali w pewnej odległości za wojskiem. Ogarniał ich coraz większy niepokój. Krzych truchlał ze strachu, a i Jurkowi zimno się robiło na myśl, jak też ojciec ich przyjmie. Nadeszła noc, wojsko rozłożyło się obo-

zem pod jakąś wsią. Nasi chłopcy dostali się szczęśliwie do chłopskiej chałupy, stojącej na uboczu.

Wieczór był jasny, ciepły, pogodny. Jurek usiadł na progu chaty, Krzych przykucnął na ziemi u jego stóp.

— Oj, co to będzie, paniczu, co to będzie? — rzekł nieśmiało.

— Wiesz, Krzychu, wracajmy lepiej do Krakowa.

— A jeżeli pana starszego już nie znajdziemy, to co?

— Nawarzyłem sobie kaszy! — mówił Jurko, łapiąc się za głowę.

Zamyślili się obaj smutnie. Wtem ujrzeni rycerza, który się odłączył od obozu i jechał powoli przez pola. Za nim w oddaleniu jechało dwóch innych rycerzy.

— Co wy za jedni? — zawołał zdziwiony, na widok uzbrojonych dzieci.

— Jestem Jurko z Zaborowa!

— A co ty tu robisz?

— Tatuś poszli na wojnę, ruszyłem za nim.

Rycerz brwi zmarszczył.

— I to bez wiedzy ojca? Oj, nieposłuszny z ciebie chłopak!

— Panie! — zawołał Jurko, składając ręce — taką okrutną miałem ochotę, że nie mogłem inaczej. Ja także chcę iść na Mołdawę, służyć królowi i ojczyźnie!

— No, no — rzekł rycerz udobruchany. — A ty coś za jeden? — spytał Krzycha.

Jurko opowiedział historję sieroty. Oblicze rycerza posmutniało.

— Pewno macie żal do króla, że chłopów do
ziemi przywiązał — spytał Krzycha.

— A jakże, panie, toć król przecie wolnych



...Co wy za jedni? — zawołał zdziwiony, na widok uzbrojonych dzieci.

kmieci, Piastowi równych. zaprzedał w niewolę
panom — odparł Krzych.

— Nie mógł inaczej zrobić, w całej Europie
chłopi już dawno stracili wolność. Szlachta skar-
żyła się, że nie może podatków płacić, na wojnę

chodzić, bo niema jej kto w polu pracować, trzeba było dać panom chłopów, inaczej krajby upadł.

Chłopcy słuchali uważnie.

— Tak jest w całej Europie — panowie walczą za ojczyznę, a chłopci pracują dla niej; jedni niosą krajowi krew w ofierze, a drudzy pot swój i pracę.

— My teżbyśmy radzi krew swoją przelać za ojczyznę! — zawołał Jurek z zapalem.

— I ja, choć chłopskie dziecko, nie poszczędzę jej ani swej krwi, ani potu — dodał Krzych.

Oczy rycerza zabłyśły zapalem.

— Wamby było lepiej wracać do dom, dzieci — rzekł po chwili.

Chłopcy spochmurnieli i zamilkli zagniewani.

Rycerz uśmiechnął się, skinął Jurkowi głową i zawrócił do obozu. Rycerze, którzy stali zdaleka, jakby czekając rozkazów, zawrócili z nim także.

A był to sam król Jan Olbracht.

— Przyprawiajcie tutaj Andrzeja z Zaborowa! — rzekł, schodząc z konia przed swym namiotem.

Pan Zaborowski stanął przed królem. Ten opowiedział mu swoje spotkanie z chłopcami.

— Jedź po syna, niech idzie z nami, chyba nie stanie mu się nic złego — rzekł król na zakończenie. — Wyłaj ich, ale się niebardzo gniewaj za nieposłuszeństwo; to zuch chłopak, a zdaje się być i rozsądny.

W parę chwil potem Jurko płakał z radości na piersi ojcowskiej, a Krzych wołał wesoło:

— Pójdziemy na wojnę, paniczu, pójdziemy na wojnę!

— A trzeba dziadkowi zaraz dać znać, że tu jesteście, bo będzie niespokojny, co się z wami stało — rzekł pan Zaborowski.

I posłał zaraz pachółka z wieścią do ojca.

.

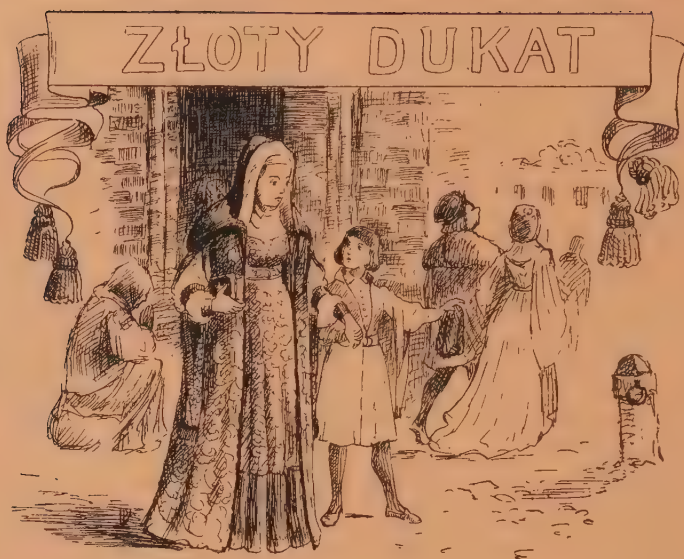
Smutnie się skończyła wyprawa mołdawska, która tyle wróżyła pomyślności.

Zdradny hospodar uczynił straszną zasadzkę w lasach bukowińskich pod Żukowcami. Podpałił las, przez który Polacy przechodzili, a w dodatku podcięte drzewa z trzaskiem zaczęły się walić na rycerzy, przygniatając ich swym ciężarem. Żołnierz, nie przyzwyczajony do podobnych zdarzeń i zasadzek, spłoszył się i wkońcu począł uciekać. Wtedy na rozproszone wojsko wpadł hospodar Stefan, posiłkowany przez Turków i Węgrów, i ścigał Polaków aż pod Czerniowce. Tylko nie-liczna garstka ocalała.

Pod ciosami nieprzyjaciela padł również i pan Andrzej z Zaborowa. Jurko ocalał, dzięki bohaterskiej obronie Krzycha, który strata ręki i lewego oka opłacił swą miłość dla panicza. Manowcami wrócili do kraju, do dziadka, który ze zbolałym sercem słuchał opowiadania o strasznych przygodach i o okropnej śmierci syna.

Kłeska w lasach bukowińskich długo się przechowywała w pamięci ludu. Powstało nawet przysłowie:

Za króla Olbrachta
Wyginęła szlachta.



Powiaстка z czasów zygmunto-wskich.

Po śmierci Olbrachta panował brat jego, *Aleksander* (1501—1506), który na sejmie w Piotrkowie dał nowe przywileje szlachcie. Po nim wstąpił na tron najmłodszy z synów *Kazimierza Jagiellończyka*, *Zygmunt I Stary* (1506—1548), nazwany tak dla dojrzałego wieku i wielkiej powagi. Polska za jego panowania dosięgła szczytu swej potęgi i chwały. Nastąpiły t. zw. złote czasy zygmunto-wskie.

Wielki mistrz krzyżacki przyjął protestantyzm i za zgodą króla ogłosił się księciem pruskim — hołdownikiem Polski. (Pierwszy hołd pruski odbył się uroczystie w roku 1525 na rynku krakowskim).

Zygmunt wcielił do państwa ostatnią niezależną dzielnicę — Mazowsze; zawarł pokój z Moskwą, której oddał Smoleńsk i prowadził szczęśliwie walki

z mołdawskim hospodarem, któremu hetman Jan Tarnowski zadał klęskę pod Obertynem (1531).

Złote słońce światłem jasnym i pogodnem oblewało Kraków. W blasku i chwale występował dziś gród królewski, w blasku i chwale pławiła się Polska cała — wielka — od morza do morza! ¹⁾), a tak potężna, że cała Europa chyliła się przed jej mocą, siłą, bogactwem i oświatą.

Do wszechnicy krakowskiej zjeżdżali się uczeni z całego świata... tutaj znakomity polski matematyk i astronom, Mikołaj Kopernik, obliczał, mierzył i obmyślał swe wielkie dzieło, aż słońcu złotemu »stań!« zakrzyknął ²⁾), tutaj poeci swe cudne pieśni składali, a papież wieńczył ich czoła złotym wieńcem wawrzynu... tutaj książęta ściągali, by hołd oddać królowi polskiemu...

I dzisiaj właśnie do takiej uroczystości sposobił się Kraków, oblany złotem słońcem jagiellońskiej chwały. Od wczesnego ranka rozlegał się w rynku gwar głosów, nawoływanie królewskich sług, stuk siekier i toporów. Cieśle krakowscy pracowali z takim zapałem, aż pot strumieniami spływał po ich twarzach. Raz wraz przystawały ciekawe mieszczki i grubi mieszczenie, z dumą spoglądając na wznoszący się drewniany pomost.

— Matuchno, chodźmy popatrzeć, co tam robią — prosił młody chłopiec, który właśnie po skończonej prymarji wychodził z matką z Marjackiego kościoła.

¹⁾ Od morza Czarnego do morza Bałtyckiego.

²⁾ Kopernik dziełem swem zrobił przewrót w nauce: dowiódł on bowiem, że nie słońce koło ziemi, ale ziemia krąży koło słońca.

— Trzeba nam śpieszyć do domu, o śniadaniu pomyśleć — odpowiedziała pani Kalinowska — wiesz, że teraz już nie mam kim się wyręczyć.

— Jeno okiem rzucę, pani matko. Jeno popatrzę, jakie to rusztowanie szykują cieśle dla pruskiego księcia.

Wdowa zgodziła się — podeszła z synem do samego wzniesienia, które ciągnęło się od południowej facjaty Sukiennic aż do samego kościoła św. Wojciecha.

— Już skończyli cieśle swą robotę! — zawołał chłopiec, widząc odchodzących rzemieślników.

— A ino — odrzekł jeden z młodych czeladników, który na samym ostatku drewniane schody przybijał — godnieżeśmy sklecili polskiemu królowi wzniesienie; niech cały świat zobaczy, jak klęknie Prusak przed nim i hołd mu złoży.

— Wieki całe walczyła Polska z Niemcem, aż oto dożyliśmy takiego szczęsnego dnia! — zawołał jakiś staruszek.

I wznosząc do nieba swe ręce, wyszeptał w uniesieniu:

— Teraz puść, Panie, sługę swego w pokój!

Młody Kalinowski słuchał z radością i dumą tych słów. Chwilę postął, obejrzał wzniesienie, wreszcie powoli, z uszanowaniem poprowadził swą matkę wśród rojnych dziś i ludnych ulic Krakowa.

— Wielkie święto dzisiaj — mówiła do syna pani Kalinowska — gdyby to nieboszyk twój ojciec mógł je widzieć...

Stanęli na przedmieściu przed skromnym swym domkiem...

— Teraz pozwólcie mi, pani matko, powrócić na rynek — rzekł chłopiec, całując ręce wdowy.

— A śniadanie?

— Co tam śniadanie, matuchno moja, bylbym jeno mógł zobaczyć ten hołd pruski!

— Pójdziemy razem, synusiu. Trzeba się odziać odświeżnie, jeszcze dosyć czasu mamy.

Młody Kalinowski posłusznie podążył za matką, pomagał jej ochoczo przyrządzić skromny posiłek.

— Dawniej inaczej bywało — mówiła pani Kalinowska, krzątając się po ubogim pokoiku. — Mieliśmy wioskę na Pokuciu i dworek śliczny modrzewiowy, ojciec twój gospodarował, pieniądze dla ciebie i dostatki gromadził. Napadli Wołosi, zrabowali wioskę, spalili dworek, wymordowali naszych kmiotków, Rusinów pracowitych. Ojciec ze zmartwienia umarł — i ot, zostaliśmy oboje sieroty, prawie na bruku.

Przerwała, łzy potoczyły się po jej bladej twarzy.

— Nie płaczcie, matuchno, złocista moja. Nie płaczcie! Dziś taki dzień radosny. Niech tylko podrosnę, zaraz pójdę na Wołochów, złamiemy ich pychę tak, jakeśmy krzyżaków pokonali, będzie nam hołdować gospodar mołdawski!

— Mój synu, nieraz już wojska polskie szły na Wołoszyna zdradliwego. Ojciec mój poległ za króla Olbrachta na Bukowinie, brat mój jedyny zginął w walkach z Mołdawą za króla Aleksandra,

nieraz już polskie wojska szły zasłaniać swą pierś Ruś biedną, a zdradliwy gospodar mołdawski co lat parę podnosi swą zdeptaną głowę.

— Wiem to, matuchno! aleć przecie i na niego spadnie wreszcie kara. Da Bóg, złamiemy jego potęgę, obronimy Ruś.

— Daj, Boże! — szepnęła wdowa.

— Niech tylko podrosnę, matuchno! O, ja pomszczę śmierć ojcową! A potem odbuduję nasz dworek modrzewiowy, osadzę w opustoszałej wiosce biednych Rusinów. Będiesz znowu, pani matko, krzątała się po dworku białym; będą ci znowu hoże mołodyce zawodziły tęskne dumki przy krosnach, będziemy modlili się razem na opuszczonym grobie rodzica.

Tak nieraz już marzył młody Kalinowski, a matka, zasłuchana w te złote marzenia, zapomniała, że głód i nędza zagląda w okna pokoiku, że ostatnie suknie kładzie na siebie i syna... I dzisiaj też uspokoiła się prędko, przywdziała odświętne szaty i radosna, wsparta na ramieniu jedynaka, podążała ku rynkowi.

Młody Kalinowski butnie torował sobie drogę. Zaprowadził matkę na ganek Sukiennic, skąd wygodnie i bezpiecznie mogła widzieć całą uroczystość — i, uzyskawszy jej pozwolenie, zbiegł pośpiesznie na dół i przecisnął się do samych schodów, prowadzących na trybunę.

Tu już wszystko było gotowe: podłoga wy-
moszczona czerwonym suknem, wschodnie makaty rozpięte ztyłu, na wzniesieniu ustawiony tron królewski pod złotym baldachimem i ławy, okryte kobiercami, dla królowej i dam dworskich.

Cały rynek zapchany, głowa przy głowie: strojne mieszczki w czepcach, kapiących od złota, dostojni mieszczenie, lud radosny...

A nad głowami wiewały chorągwie, strzelały w górę wieżyce Marjackiego kościoła, jasne blaski słało złote słońce, i biły dzwony.

Młody Kalinowski przyparł się do samych schodów, uczepił się jakiejś belki, potem wdrapał się na nią, tak że głowa jego była narówni ze wzniesieniem, i wszystko mógł widzieć i słyszeć dokładnie.

Nagle zamilkły dzwony, ozwały się bębny, kotły i surmy, zakołysały wszystkie głowy, byłan, wichrem zgięty... Po czerwonych schodach powoli, dostojnie wchodził król Zygmunt. Jego okazała postać takim tęnęła majestatem, taką powagą, że mimowoli gięły się przed nim kolana. Król odziany był w złocistą suknię i płaszcz królewski, na głowie miał koronę. Zasiadł na tronie — i przenikliwe spojrzenie utkwiał w księciu pruskim, który stanął na uboczu.

Za królem postępował syn jego jedyny — dziecko jeszcze — piękny królewicz Zygmunt August, prowadzony przez wojewodę Opalińskiego. Lud kochał królewskiego jedynaka, a choć sarkano powszechnie na królową, że psuje i rozpiera syna, jednakże zawsze małego królewicza witano z uniesieniem i miłością. I teraz na jego widok wzniósł się gwar radosny:

— A witajże nam, witaj, złoty królewiczu!

Naraz uciszyły się okrzyki: na wzniesienie ze swoim dworem wchodziła piękna żona Zyg-

munтова, królowa Bona, strojna w jedwabie, perły i brylanty.

Nie lubili Polacy zdradliwej Włoszki, a ona odplacała im niechęcią i pogardą.

Przechodząc koło młodego Kalinowskiego, królowa swym długim trenem zamiotła mu po twarzy, aż chłopiec otrząsnął się.

— Przeklęta Włoszka! — szepnął zagniewany.

Bona rozsiadła się dumnie, za nią w głębi ostatnia księżna mazowiecka ¹⁾ swą powagą matrony polskiej przyciągała oczy ludu.

Obok króla zajął miejsce zacny senat koronny, za którego poradą Zygmunt pozwolił krzyżakom na s e k u l a r y z a c j ę Prus ²⁾. Lud głośno wymieniał nazwiska dygnitarzy:

— To Szydłowski, ten z jabłkiem królewskim.

— To Hieronim Łaski, z mieczem.

— A oto idą biskup Tomicki i prymas Łaski.

Za biskupami rycerstwo i panowie szlachta świetnym kręgiem otoczyli wzniesienie.

Oczy Kalinowskiego przyciągnęła wspaniała postać rycerza w połocistej zbroi, który na siwym koniu wznosił się ponad tłumem.

— Kto to? — spytał swego sąsiada.

— Jan Tarnowski, hetman i rycerz znakomity — odpowiedział zagadnięty.

Odtąd chłopcem owładnęła jedna tylko myśl:

¹⁾ Mazowsze zachowywało długo swą niezależność. Dopiero Zygmunt I wcielił je do Korony.

²⁾ To znaczy, że z katolickiego zakonu zrobiło się świeckie księstwo, a krzyżacy zmienili katolicką wiarę na protestancką.

dostać się kiedyś pod rozkazy tego hetmana, no-
sić taką piękną zbroję i hełm z piórami.

A tymczasem król dał znak ręką. Tłum za-
parł oddech w piersiach, zbliżała się uroczysta,
wiekopomna chwila hołdu.

Przed królem stanął Albrecht, książę pruski,
z dwoma braćmi. Książę stał hardo i dumnie,
lśniła w słońcu jego zbroja kowana, wiatr skre-
cał zwoje jego płaszcza, oczy patrzyły z tajoną
nienawiścią, a ręka zaciskała się na głowicy mie-
cza.

— Na kolana, Prusaku! — zaszemrał tłum.

— Na kolana!

Ukląkł niechętnie, wyprostowany, jak
struna.

Ksiądz prymas Łaski podał królowi Ewan-
gelję świętą. Książę położył na niej dwa palce
i twardo, jakby szyderczo wymawiał słowa przy-
sięgi hołdowniczej na wierność i posłuszeństwo
Polsce.

— Oczy jego i zamiary kłamią słowom —
szepnął młody Kalinowski.

Znać ta sama myśl zrodziła się i pod czołem
królewskim, bo Zygmunt I przenikliwym wzro-
kiem wpatrzył się w owego hołdownika, jakby
chciał czytać myśli Prusaka...

Znać Firlej stary przeczuł smutną przyszłość,
bo dreszcz jakowyś wstrząsnął jego ciałem...

Znać doświadczony Opaliński odgadywał
nieszczeście ¹⁾, co za trzy wieki niespełna z ręki
wnuków tego hołdownika nad Polską zawiśnie,

¹⁾ Pruśki król Fryderyk pierwszy zaczął myśleć o roz-
biorze Polski i namówił do tego inne mocarstwa.

bo głowę ponuro opuścił i za ramię schwycił młodego królewicza.

Zagrzmiały surmy i kotły — uroczystość była skończona.

Kalinowski jeszcze raz zwrócił oczy na dostojnego rycerza, a gdy tłum zasłonił mu hetmana, chłopiec z sercem bijącym zesunął się na ziemię i chciał biec do matki.

Wtem wzrok jego padł na dziwaczną postać, siedzącą na krawędzi wzniesienia, z nogą przerzuconą przez kolano. Był to wesolek królewski, Stańczyk.

W jaskrawych szatach, w błazeńskiej czapce z oślemi uszami, obwieszony dzwonkami. Stańczyk siedział smutny i ponury jak noc.

— Coś nasz Stańczyk niewesoły dzisiaj! — zażartował któryś z mieszczan — czyżto kumem Prusaka, a może swatem?

— Ha, ha, ha, ha! — zaśmiał się błazen szyderskim śmiechem.

Coś jakby mróz ściał żyły Kalinowskiego na dźwięk tego śmiechu.

— Ha, ha, ha, ha! — śmiał się błazen coraz smutniej, aż długo wstrzymywanem łkaniem wybuchnął.

— Co mu się stało? — pytał tłum zdziwiony, gromadząc się koło Stańczyka.

— Ot, błaznuje, jak zwykle — rzekł któryś z mieszczan i pobiegł wraz z innymi ku podskarbiemu królewskiemu, który pełnemi garściami rozrzucał pieniądze między lud na zakończenie uroczystości.

Młody Kalinowski nie poszedł za ich przy-

kładem; zbliżył się nieśmiało do łkającego wciąż błazna, ujął go za ramię i spytał:

— Czego płaczecie, panie?

Stańczyk siłą woli zapanował nad sobą, i z pod błazeńskiej czapki spojrzały na chłopca oczy, bezdennie smutne i zrozpaczone.

— Co się wam stało, panie? — spytał powtórnie chłopiec.

— Lepsza gadzina, co otwarcie kasa — odpowiedział błazen — niż ta, co się łasi, aby potem milczkiem ugryźć swego dobroczyńcę. Zobaczysz, chłopcze, że pod skrzydłami Polski wyrośnie ten hołdownik na naszego wroga.

Zamyślił się ponuro, a serce chłopca ścisnęło jakieś przeczucie nieszczęścia. Ale po chwili wstrząsnął głową i, wspomniawszy hetmana Tarnowskiego, szepnął:

— Nie damy się!

— Ha, ha, ha, ha! — zaśmiał się znowu błazen szyderczo. — Ciesz się triumfem Polski, ciesz, ale nie myśl o jej losie! Ha-ha-ha-ha!

Kalinowski stał długo ze spuszczoną głową i ściśniętem sercem; w uszach mu wciąż dźwięczał śmiech szyderczy, choć Stańczyk już dawno powlókł się był do zamku.

Naraz oczy chłopca przyciągnął złoty błyszczący krążek, leżący w pyle; schylił się, podniósł. Był to nowiuteńki dukat z wizerunkiem Matki Boskiej.

— Dukat, złoty dukat. Ciekawym, czyby za niego można kupić siwego konia i srebrną zbroję i skrzydła husarskie. Ej, nie, na to trzeba wiele,

wiele dukatów. A może ten dukat przyniesie mi szczęście.

.
Złoty dukat przyniósł rzeczywiście szczęście Kalinowskiemu. Matka schowała mu go na »czarną godzinę«, ale tak jakoś zawsze szczęśliwie się składało, że nie było ostatecznej potrzeby wyciągać dukata. Wprawdzie nieraz bywało i głodno i chłodno, lecz chłopiec już dorastał, szkoły skończył, zaciągnął się do chorągwi. Odwaga i zręczność młodego rycerzyka zjednały mu przychylność hetmana, który swoim sumptem uzbroił go i zaliczył do królewskiej chorągwi. Spełniły się marzenia chłopca.

Aż wreszcie przyszła chwila, oczekiwana przez niego jak zbawienie. Jak wicher, wpadł radosny do dworku na przedmieściu i rzucił się do kolan matki:

— Błogosławcie, pani matko, jutro ruszamy na mołdawską wyprawę, na obronę Rusi!

A było to w sześć lat po pamiętnym hołdzie pruskim z r. 1525.

Wdowa czuła, że nie powstrzyma syna, rzekła więc tylko smutnie:

— Jednego mam cię, synu, i ty mnie opuszczasz?

— Matko — odpowiedział młody Kalinowski — a tam opuszczony grób ojca i spalony dworek wołają o pomstę.

— Pomsty zaniechaj, dziecko, zostaw ją Bogu i Jego świętej sprawiedliwości.

— Matko, Ruś błaga o pomoc przeciw Wołoszy. Ja muszę iść, pobłogosław mi!

Drżącemi rękami zawiesiła pani Kalinowska na szyi jedynaka złoty dukat z Matką Boską.

— Niech cię Najświętsza Panna wspiera i ochrania! — rzekła, łkując łzy.

A gdy syn wyszedł, szumiąc skrzydłami husarskimi, nieszczęśliwa niewiasta padła zemdłona. I odtąd dni jej płynęły w męce, a noce w modlitwie nieustannej.

— Męża mi zabrał Wołoszyn zdradliwy, ojciec i brat mój polegli w walce z nim, niechajże mi Bóg chociaż syna zachowa od niechybnej śmierci.

A tymczasem pod Obertynem hetman Tarnowski potykał się z Mołdawą: cztery tysiące polskiego wojska stanęło wobec sześćkroć silniejszego nieprzyjaciela, a pięćdziesiąt dział wołoskich zionęło ogniem i zniszczeniem.

Nie stracił serca hetman Tarnowski, nie stracił nadziei młody Kalinowski. Pierwszy skoczył na armaty wołoskie i swą mężną pierśią, na której błyszczał dukat z Matką Bożą, zagroził drogę mołdawskim kulom do bratnich szeregów...

Poległ młody Kalinowski, a waleczny hetman powiózł pięćdziesiąt zdobytych dział królowi Zygmunтови.

Radością nową i nowym triumfem rozbrzmiewał Kraków; z owych armat wołoskich, krwią polską drogo okupionych, rozkazał król ułać dzwon potężny.

I zaczęto dzwon odlewać z pięćdziesięciu dział mołdawskich: sprowadzono z Norymbergi mistrza, ten stopił działa w ogniu, a każdy, co

miął szlachetnego kruszcu, rzucał do roztopione-
go śpiżu, aby głos dzwonu był czysty i piękny:
— i rzucił król swe berło szczerozłote — —
— i rzucił hetman swą buławę zwycięską —
— i rzucali rycerze główce swych mieczów —
— i rzucały niewiasty swe srebra rodzinne —
a wciąż za mało było.

Wtenczas przez tłum przecisnęła się zbolą-
ła matka poległego bohaterską śmiercią młodego
Kalinowskiego. W roztopiony śpiż rzuciła naj-
droższą swą pamiątkę — złoty dukat z Matką Bo-
ską, krwią serdeczną syna zlany.

Zakotłował się śpiż płynny, i odlano dzwon...

.

I oto przeminęło wszystko: umarł król Zyg-
munt Stary; wygasła dynastia Jagiellonów; Pru-
sak, co nam hołdował, stał się panem naszym:
Rusini, za których pod Obertynem krew przele-
waliśmy, nienawiścią nam płacą; rozdarła przez
trzech wrogów runęła Polska od morza do morza
i przez sto lat zgórą jęczała pod batem pruskim,
moskiewską nahajką i uciskiem austriackim —
ale na Wawelu dzwon Zygmunta dzwonił jak daw-
niej, opowiadał o dawnej potędze, krzepił i ka-
zał wierzyć w przyszłość — aż przyszedł dzień,
w którym rozdzwonił się potężnie — **d z i e ń**
Z m a r t w y c h w s t a n i a P o l s k i .

I teraz dzwoni nam w wielkie narodowe uro-
czystości, a ile razy rozkołysze się potężniej, tyle
razy dźwięczy w nim czysty dźwięk złotego du-
kata, zlanego bohaterską krwią młodego ryce-
rzyka.

DWIE SIOSTRY



Powiadka z czasów Zygmunta Augusta.

Po śmierci Zygmunta panował jedyny syn jego, *Zygmunt II August* (1548–1570), ostatni z Jagiellonów.

Przyłączył on do Polski Inflanty, przyjął hołd od księcia Kurlandji. W roku 1569 na sejmie w Lublinie przeprowadził i utrwalił unję Polski z Litwą.

Na wschód od Wisły, niedaleko Lublina, leżała wieś Czerwona Wola. Była to pańska siedziba z pięknym modrzewiowym dworkiem. Za dworem ciągnął się wielki ogród owocowy. Pewnego dnia w ogrodzie tym na ławeczce z darniny siedział młody jeszcze mężczyzna z dwiema dziewczynkami. Obie ubrane były jednakowo: w białe

jubki ¹⁾ z niebieskiem naszyciem i niebieskie gorseciki, bramowane srebrem.

Dziewczynki miały widocznie jakieś zmartwienie, bo oczęta ich były czerwone od płaczu.

— To tatuś jest obrany posłem na sejm? — spytała młodsza, Halszka.

— Tak, kochanie — odpowiedział ojciec.

— A co tatuś będzie robił na tym sejmie?

— Będziemy tam radzili o unji z Litwą.

— O unji z Litwą? — powtórzyła zdziwiona dziewczynka — a co to jest unja?

— Unja znaczy to samo, co związek, połączenie.

— Tatusiu — rzekła Basia — przecież gdy Jadwiga wyszła za Jagiełłę, to się już połączyły oba kraje. Na cóż więc teraz radzić o tem na sejmie?

— Dlatego, moje dziecko, że teraz te kraje łączy tylko wspólna dynastja, czyli panujący królowie z rodu Jagiellonów. Nasz król nie ma syna, więc po jego śmierci mogłyby się oba państwa rozpaść. Dlatego też chcemy podpisać wspólnie akt unji, czyli połączenia.

— O, teraz już wszystko rozumiem! — zawołała ucieszona Halszka i na nowo zaczęła pleść swój wianek z chabrów.

— Tatusiu, niech tatuś nie jedzie na unję, niech ją sobie sami podpisują — zawołała nagle Basia, tuląc się do piersi ojcowskiej.

— Dlaczego, Basiu?

Basia nie odpowiadała, wstrzymywane łzy

¹⁾ Spódniczki.

dławiły ją. Halszka, młodsza, nie mogła powstrzymać płaczu i, łkając, prosiła:

— Ostańcie, tatusiu, ostańcie!

Pan Woliński spojrzał zdziwiony.

— Co to znaczy? — spytał — od samego rana jesteście smutne, teraz płaczecie. No, Baśka, wstyd się mazgać! Obetrzyj oczy fartuszkciem i powiedz, o co wam chodzi.

Lecz i Basia teraz w głos się rozplakała. Aż wreszcie Halszka, nie odejmując fartuszka od oczu, zawołała:

— Tatusiu, nie zostawiajcie nas z macochą...

— Z kim? — spytał smutnie pan Woliński.

— Z tą nową naszą panią matką — poprawiła siostrę Basia.

— Dlaczego? przecież matka jest dobra dla was...

— O nie! ona tylko przy tatusiu jest dobra, a jak tatusia niema, to bije nas nawet.

— Cicho, Halszko, nie skarż się, nie martw ojca, to nieładnie — rzekła Basia.

— Pewno was ukarała dlatego, żeście były nieposłuszne, albo niegrzeczne — rzekł ojciec.

Halszka znów chciała mówić, lecz Basia trąciła ją zlekka.

— A czy koniecznie musicie jechać, tatusiu? — spytała.

— Koniecznie; przecież szlachta obrała mnie posłem.

— A król sam nie może unji zrobić?

— Nie może.

— A kto mu zabroni? — zapytała ciekawie Halszka.

— Szlacheckie przywileje. Król polski nie ma prawa postanowić *n i c n o w e g o*¹⁾, ani wojny, ani praw, ani podatków bez zgody sejmu i senatu. W skład zaś sejmu wchodzi postowie z całego państwa: Wielkopole, Małopole, Mazowsze, Litwini, Podlasianie, Rusini i inni.

— I tatuś jest takim postem?

Pan Woliński skinął głową.

— Otóż, moje dzieci, bez zgody tych trzech *s t a n ó w*: króla, sejmu i senatu — nic nowego nie może być postanowione. Widzicie więc, że muszę jechać do Lublina.

— A jeśliby kto nie chciał się zgodzić na sejmie na unję, to co?

— Musi się zgodzić na to, co większość urzędu. Inaczej nicby nie można było uchwalić.

— A czy długo trwa taki sejm?

— O... ciągnie się po kilka tygodni, a nawet i dłużej.

Dziewczęta znowu się zasmuciły, a czoło panny Wolińskiego głęboka przecięła bródka. Basia pociągnęła Halszkę za rękawek.

— Chodź, zrobimy wianeczek — rzekła.

Gdy się nieco oddaliły od ojca, rzekła do siostry z wyrzutem:

— Nie trzeba się skarżyć tatusiowi. Wiesz, jak się tem okrutnie zafrasował.

— Cóż więc pocniemy?

— Ha, trzeba znosić wszystko i mileżeć — innej rady niema. Jak matusia umierała, obiecałyśmy jej, że w niczem ojczusiowi frasunku nie

¹⁾ Przywilej ten nazywał się *nihil novi* czyli nic nowego.

przysporzymy. Pamiętasz, moja kochana siostrzyczko?

— Pamiętam — rzekła Halszka cienkim głosem i zapłakała.

Basi też łzy popłynęły z błękitnych, jak bławatki polne, oczu.

W kilka dni potem pan Grzegorz z Czerwonej Woli wyruszył na sejm, serdecznie żegnany przez córki. Pani Wolińska obiecała mężowi, że będzie dobra i łagodna dla dziewczynek; lecz skoro tylko mąż jej wyjechał, niegodziwa niewiasta zaczęła dokuczać pasierbicom i dręczyć je. Szczególniej nie mogła im przebaczyć tego, że tak bardzo kochały swą zmarłą matkę.

Pierwsza żona Grzegorza z Czerwonej Woli słynęła na całą okolicę z dobroci i słodyczy. Chłopi, biedacy i chorzy mieli w niej troskliwą opiekunkę. Obecna zaś pani Wolińska ani trochę nie była podobna do zmarłej. »Niemka« (tak ją nazywali wszyscy, gdyż pochodziła z rodziny niemieckiej) czuła tę ogólną niechęć, która ją otaczała, zazdrościła nieboszczce uznania i dobrej pamięci i całą swoją zazdrość i nienawiść wywierała na biednych sierotach.

To też zameczała dziewczątka pracą, biła je za lada przyczyną, nieledwie głodem morzyła. Basia, starsza i silniejsza, znosiła wszystko z zadziwiającym spokojem. Mężna dziewczyna ani słówkiem nie okazała, jak bardzo cierpi. Serce jej się krajało z bólu, gdy całowała pobladłe lichka Halszki, która, o wiele delikatniejsza, wszystko nierównie więcej odczuwała i silniej cierpiała.

Minęło kilka strasznych tygodni. Naraz ma-

cocha wyjechała nagle, zawezwana do Lublina. Pan Grzegorz rozchorował się obłożnie.

»Niemka« z początku pielęgnowała go troskliwie, lecz gdy się przekonała, że ratunku nie ma, i że za kilka dni chory umrze, porzuciła konającego bez żadnej opieki, bez żadnej pomocy, w żydowskiej gospodzie w pobliżu Lublina. Zabrała mu wszystkie pieniądze i klejnoty i wróciła śpiesznie do Czerwonej Woli.

Powrót jej przeraził Basię i Halszkę, bo w czasie jej nieobecności dziewczątka trochę odczłnęły.

Chytra kobieta dlatego powróciła tak śpiesznie, bo powzięła zamiar zagarnienia całego majątku Wolińskich. Zaraz po powrocie zawołała do siebie pasierbice.

— Ojciec wasz już nie wróci, mnie oddał cały majątek, ja tu teraz jedyną panią, a was nie chcę! Idźcie sobie precz, i to zaraz! Żeby was tu jutro nie widziały moje oczy!

Biedne dziewczęta całą noc nie spały, płacząc rzewnie. Na drugi dzień z rana wzięły się za ręce i wyszły w pole. Na uboczu stała opustoszała stodoła, a że deszcz zaczął padać, sieroty schroniły się do niej. Basia łamała ręce z rozpacz.

Po chwili Halszka zapytała:

— Basiu, czy długo można siedzieć w takiej szopie?

— Nie wiem, Halszko, chyba długo — jeżeliśmy miały co jeść.

— Basiu, a bez jedzenia długo można wytrzymać?

Basi serce się ścisnęło.

— Nie, siostruniu, bardzo niedługo.

— Bo widzisz, Basiu, myślę, że jak tatuś przyjedzie z sejmu, to przecież nas odnajdzie



...Idźcie sobie precz i to zaraz!

i ocali. Chociaż macocha mówiła, że on już nie wróci, ale to chyba nieprawda.

— Do tego czasu umrzemy zapewne z głodu — rzekła głucho dziewczynka.

Nagle straszna myśl przemknęła jej przez głowę.

— Słuchaj! — krzyknęła głośno, chwytając Halszkę za ramię — poco Niemka jeździła do Lublina? Nie domyślasz się, Halszko, poco ona tam jeździła?...

— Przecież do tatusia, był chory podobno.

— Ależ ona boi się tatusia, więc gdyby tatuś żył...

Halszka krzyknęła strasznie i, jak kwiatek podcięty, upadła na ziemię.

Basia przeraziła się.

— Jak ją tu ratować? — pomyślała.

Wtem skrzypnęły wierzeje, we wrotach ukazała się postać ludzka. Był to jeden z parobczaków folwarcznych. Gdy ujrzał dziewczętą, cofnął się przerażony.

— O Jezu! — zawołał — toć to jasne panienki ze dwora.

— Chłopcze, przynieś wody, prędko! Halszka zemdlą. Śpiesz się!

Chłopiec zniknął... Mijały chwile, tak długie dla Basi, rozpacz ją ogarniać zaczęła. Bezradna stała nad zemdloną siostrzyczką. Halszka wciąż bez ruchu leżała na ziemi. Wreszcie chłopiec przyszedł. W wyszczerbionym garnuszku niósł trochę wody. Basia pochwyciła z radością garnek i zaczęła skrapiać twarz siostry. Halszka powoli przyszła do siebie. Parobczak zapytał:

— Czy panienki wrócą do dworu?

— Nie, nie możemy tam wrócić, macocha nas wypędziła; same nie wiemy teraz, co robić. Jesteśmy głodne.

Na twarzy chłopca odbiło się zdumienie i współczucie.

— Niech panienki poczekają, ja zaraz wrócę — i jak strzała wybiegł z szopy.

Wrócił zadyszany, podając Basi kawał razowego chleba.

— Weźcie to — rzekł nieśmiało — idźcie do Lublina, to niedaleko, dowiecie się o ojcu; tam jest także siła panów, może oni wam poradzą i pomogą.

I wyprowadziwszy dziewczynki ze stodoły, pokazał im drogę, wiodącą do Lublina.

— Niech ci Pan Bóg zapłaci — rzekła Basia.

Chłopiec stał jeszcze przez chwilę, patrząc za odchodzącymi, poczem wrócił do wsi.

Dziewczynki udały się wskazaną drogą w stronę grodu. Szły prędko, jedząc czarny chleb, otrzymany od parobczaka. Na gościńcu ruch panował duży. Mijały ich powozy z panami świeczkami i duchownymi, szlachta na koniach. Dziewczynki nie odważyły się zaczepić nikogo.

Wtem od strony Lublina ukazał się orszak, złożony z kilkunastu ludzi na koniach i kilku kolas. Jechali wolno, rozmawiali burzliwie, może się kłócili, albo może obradowali. Gdy zbliżyli się do Halszki i Basi, z ciekawością zaczęli im się przyglądać.

Siostry stanęły, chciały prosić o radę, lecz... jakże tu mówić do nieznajomych.

— Cóż tu robią waćpanny? — spytał przeciągłym akcentem jeden z podróżnych, zatrzymując się przy dziewczynkach.

Był to siwy starzec.

— O Jezu! — krzyknął naraz, spojrzawszy na Basię — Zośka! prawdziwa Zośka, gdym ją Tatarom odbierał!

Zsiadł z konia i zaczął się wypytywać.

Basia naprzemian z Halszką opowiedziały mu wszystko.

— Niepocziwa Niemkini! — zawołał. — No, to trzeba jechać do Lublina i dowiedzieć się o ojcu waćpanien. Nie można przecie biednych dziewcząt zostawić na drodze bez opieki. Chodźcie, mam właśnie pustą kolasę, com nią odwiózł synową.

To rzekłszy, posadził dziewczątka do kolasy i usiadł z nimi razem.

— Poczekajcie, mości panowie, muszę wrócić do Lublina — rzekł do towarzyszków.

— Wracajmy wszyscy! nie będziemy przecie tu czekać!

— To jeszcze pomyślą, żeśmy się namyślili i przystajemy na unję!

— To waćpanowie nie chcecie unji? — spytała zdumiona Basia.

Podróżni spojrzeli na dziewczynkę zdziwieni, skąd takie dziecko wie o sprawach publicznych.

— A czemu to mielibyśmy chcieć? — rzekł jeden z nich — na Podlasiu siedzimy sobie, co nam po unji!

— A jakże — potwierdzili inni. — Wracamy do domu, nic tu po nas.

Lecz Basia zawołała głośno:

— Tatuś mówił zawsze, że jeden kij złamać łatwo, a jak dwa do kupy złożyć, to nie byle kto poradzi. Zawszeć łatwiej dwom bronić się przeciw nieprzyjacielowi, niż jednemu.

Podlasianie słuchali zdumieni.

— Sam rozum z ust dziecka płynie! — zawołał jeden z nich.

— A prawda! Toć jak to Litwa z Polską zabiła Niemca pod Grunwaldem! Już po nim teraz! Pamiętajcie, mospanowie, jak to hołdował nam Niemiec za Zygmunta Starego.

— Tak samo, jak Kurlandczyk naszemu panu.

— A juści!

— No, to podpiszcie waćpanowie unję! — zawołała Halszka rezolutnie.

Wesoły śmiech rozległ się dokoła.

— A to podpisujmy! Dziw, że takie małe dziewczki w sprawach publicznych nami kierują.

— To Bóg przez usta ich przemawia i Bogarodzica Marja! — rzekł starzec, który jechał z dziewczynkami.

— Podpisujmy! Niech nie zmarnieje dzieło Jadwigi i Jagiełły! — zawołali Podlasianie, i orszak zawrócił do Lublina.

— Jak waćpannie na imię? — spytał Basię stary szlachcic.

— Basia.

— To tak samo jak biednej żonie naszego króla było! Barbara Radziwiłłówna się nazywała, i Zygmunt August kochał ją bardzo. Senatorowie i szlachta kazali mu ją rzucić, bo była nie z królewskiego rodu. Lecz król nie słuchał i dochował wiary szlachciance.

— No, i cóż — pytała Basia z błyszczącymi oczami.

— Umarła w kilka lat potem; mówią ludzie,

że ją otruła królowa Bona, matka Zygmunta Augusta. Oj, siła złego zrobiła Polsce ta przekłeta Włoszka swemi szachrajstwami!

Milczenie zapanowało dokoła; nagle Podlasićin in spytał:

— Czy waćpanny, prócz ojca, żadnych krewnych nie mają?

— Nie — rzekła Basia — nasza matusia miała młodszą siostrę, lecz ją wzięli Tatarzy w jasyr.

Staruszek zerwał się z siedzenia i krzyknął:

— To może Zośka! Zośka, moja synowa! Ja ją odbiłem! Szedłem wtedy z wojskiem na Ukrainę, napotkałem kupę Tatarów i odebrałem im prowadzoną w jasyr dziewczynkę. Chorowała potem długo, zapomniała nazwiska, tylko imię pamiętała!

— Matusia mówiła, że jej siostrze było Zośka — rzekła Halszka.

— Ona, ona! — zawołał staruszek. — Zaraz mnie uderzyło, żeście takie do niej podobne. Toście moje krewnę, toście siostrzanki mego syna!

I wzruszony przycisnął do swej piersi biedne dziewczątka, mówiąc:

— Ciotka wasza jest w Lublinie.

Lecz dziewczynki nie tylko ciotkę znalazły w Lublinie, ale i swego ojca, który, opuszczony przez macochę, powoli powracał do zdrowia, choć medyk zapewniał, że umrze na pewno.

— Bóg nam zachował tatusia — mówiły dziewczątka, całując wychudłe ręce chorego.

Niepodobna opisać radości, z jaką ojciec po-

wiatał swe pieśczotki. Sam ich widok powracał mu siły i zdrowie.

Jeszcze kilka tygodni dziewczynki przebyły w Lublinie u swej ciotki Zofji, którą pokochały jakby swoją matusię.

Pewnego popołudnia do pokoju, w którym siedziały dziewczynki z ciotką, wpadła gromada szlachty: ojciec, wuj, dziadek i wszyscy Podlasianie.

— Wiwat! Niech żyje król Zygmunt August! Unja podpisana! — wołano radośnie.

— Wspólny mamy z Litwą senat i sejm wspólny dla Litwy i Korony, jednego króla, lecz oddzielne wojska i oddzielnych urzędników — objaśniał pan Grzegorz niewiastom.

— A szlachta litewska i ruska otrzymała wszystkie przywileje szlachty polskiej.

— Litwini niebardzo chcieli unji, bo im Polacy zabrali Wołyń i Podole. Lecz pierwsi Podlasianie podpisali unję, a za nimi wszyscy! — wołał gruby szlachcie.

— Wiwat Podlasianie!

— Wiwat Basia i Halszka, nasze doradczynie!

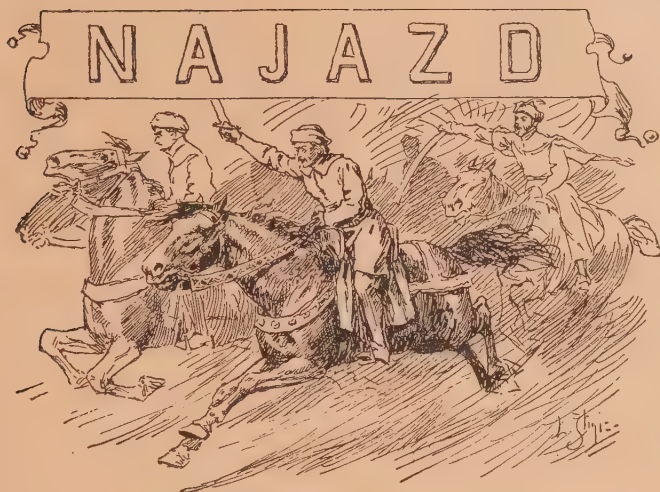
— Toć już wracaliśmy na Podlasie — zawołał dziadunio — i żeby nie te małe sroki, nasza noga nie postęłaaby w Lublinie.

»Małe sroki« napuszyły się dumą, rade z roli, jaką odegrały.

— A teraz ruszajmy do Czerwonej Woli ukarać Niemkę! — wołali Podlasianie.

Lecz sam Stwórca wymierzył złej macosze sprawiedliwość. Dowiedziawszy się o powrocie

meża i pasierbic, tak się przeraziła, że padła sparaliżowana; nie mogła ruszyć ani ręką, ani nogą, ani słówka przemówić. Basia i Halszka pielegnowały ją troskliwie przez długi czas. Po roku Niemka zmarła wśród strasznych cierpień, łzami wdzięczności dziękując szlachetnym dziewczętom za opiekę, jaką ją otaczały.



Powiastrka z czasów Stefana Batorego.

Po śmierci ostatniego z Jagiellonów szlachta zebrała się na Woli pod Warszawą i obrała królem *Henryka III Walezego* (1573—1574), brata króla francuskiego. Panował on krótko, bo otrzymawszy wiadomość o śmierci swego brata, Henryka III, uciekł do Francji dla objęcia tam tronu. Znow nastąpiło w Polsce *bezkrólewie* (1574—1576) i walka różnych stronnictw. Wreszcie obrano królem księcia siedmiogrodzkiego *Stefana Batorego* (1576—1586). Był to król nadzwyczaj dzielny i rozumny. Wzmocnił on Polskę zawichrzoną przez bezkrólewia i elekcje¹⁾. Prowadził wojnę z Moskwą, wziął Wielkie Łuki, Wieliz, obległ Psków.

Wtenczas Iwan Groźny prosił o zawarcie pokoju. Wśród przygotowań do nowej wojny z Moskwą i Turcją dzielny Stefan zmarł w Grodnie w 54 roku życia.

¹⁾ Obiór króla.

Gwarno i rojno było u pana kasztelana na Męcinach. Zaproszona szlachta zjeżdżała się tłumnie, krążyły kielichy w sali biesiadnej, wesoły śmiech i głośnie rozmowa zagłuszyły dźwięki kapeli, która przygrywała gościom. Między szlachtą uwijali się liczni paziowie i pachołkowie, gotowi do usług. Sam pan kasztelan obchodził z puha-rem w rękę swych miłych gości, prosił, by jedli i pili.

— Weselmy się, panowie bracia! Wiwat nasz król Stefan Batory!

— Wiwat! — odpowiedziało kilkadziesiąt głosów.

— Wiwat nasza złota wolność szlachecka.

— Wiwat! — zagrzmiała szlachta.

W kącie sali stał chłopiec wysokiego wzrostu w ciemnem ubraniu. Był to Florek Koliński, syn biednego szlachcica, oddany przez ojca na dwór pana kasztelana.

W owych czasach drobna szlachta oddawała swych synów na dwory wielkopańskie, by nabierali tam edukacji, dworności, poloru, by zawczasu, zamłodu skarbili sobie łaskę pańską i opiekę. To też przez całe życie biedny szlachcic trzymał się zawsze klamki pańskiej!

Chłopiec przebywał już kilka lat na dworze kasztelańskim, pilnie przykładając się do nauk, do ćwiczeń wojennych. W tym czasie pochował rodzica, majątek zaś rodzinny zabrali wierzy-ciele. Florek został bez grosza i opieki, na łaskawym chlebie pana kasztelana.

— Nie wiesz, Florku, na co nas właściwie

sprosił pan Męciński? — spytał stary szlachcic, zbliżając się do smutnego chłopca.

— Zdaje mi się, że pan kasztelan żywi niewiść do pana z Topolnicy, że chce go najechać i dobra mu złupić.

— Szlachta się na to nie zgodzi, to sprawa gardłowa.

— Po pijanemu to się zgodzą; zresztą pan Topolnicki jest lutrem. Kościół nasz zamienił na zbór luterski.

— A toż nawet lutra najeżdżać się nie godzi! — zawołał szlachcic z oburzeniem.

— I ja tak myślałem, lecz pan kasztelan mówił, że król popiera katolików, że pomaga oo. jezuitom, którzy nawracają heretyków — rzekł Florek.

— Popierać, to król popiera swoich, bo te »nowinki luterskie« niezgodę jeno sieją, aleć zaprzysiągł przecie w »pactach conventach«, że nie będzie gnębił dysydentów ¹⁾.

— Co to są te »pacta conventa«, proszę waszmości pana? — spytał Florek.

Szlachcic nie zdążył odpowiedzieć, gdyż nadszedł pan kasztelan i stanął z chłopcem na stronie.

— Słuchaj, Florek, nie chcę ja sam prowadzić szlachty na tego lutra. Nie przystoi to kasztelanowi. Ty im drogę wskażesz.

To mówiąc, pan Męciński oddalił się śpiesznie, nie uważając, że na twarzy chłopca odbiło się jakieś niezadowolenie, zakłopotanie i wahanie. Sumienie mówiło mu, że nie powinien brać

¹⁾ Czyli inowierców, wyznających inną wiarę, aniżeli ta, którą wyznawał cały kraj.

udziału w najeździe na pana Topolnickiego. Aleć on przecie kasztelanowi tyle sadła za skórę nalał, tyle wsi mu spalił, toż musi być sprawiedliwość! — myślał.

Niepewny, co mu czynić należy, zbliżył się Florek do szlachcica, z którym rozmawiał przed chwilą.

— Ciekawy z waści chłopiec, zamiast swawolić, przyszedłeś pogawędzić ze starym — rzekł szlachcic. — Otóż widzisz, pacta conventa jest to rodzaj układu między królem obranym a narodem, który go obiera. W tych pactach król przyrzeka zachować wszystkie przywileje szlacheckie, nie prześladować dysydentów, zbierać sejm co dwa lata — objaśniał staruszek.

Lecz Florek nie słuchał objaśnienia. Inna myśl go trapiła.

— Czy się godzi napaść na pana z Topolnicy, pomścić krzywdy, jakie wyrządził, czy się nie godzi? — spytał chłopiec nagle.

— Rozumie się, że się nie godzi. To warchołstwo! Gdyby każdy tak postępował, przepadłby spokój i porządek...

— Ale pan Topolnicki napadł na nas, wsie nam popalił.

— Od tego są sądy i trybunały.

— Co ja teraz, nieszczęsny, pocznę? — myślał Florek. — Kasztelan był taki dobry dla mnie, opiekował się mną, i karmił, i odziewał, jakże mu odplacić nieposłuszeństwem i niewdzięcznością?

Zamyślony, nie słyszał nawet, jak pan kasztelan mówił coś długo do szlachty. Z zadumy wyrwał go dopiero głośny okrzyk zebranych gości.

— Hajże, na lutra, na gwałciciela, na na-
jeżdżcę, na heretyka!

— Florek, prowadź ich teraz! — krzyknął
kasztelan.

Chłopiec upadł do nóg pańskich.

— Panie kasztelanie, nie posyłajcie mnie, to
się nie godzi, są przecie sądy! Panie kasztelanie,
król przysięgał w pactach conventach...

— Co mi tu pleciesz baje i nauki dajesz, mło-
kosie jakiś! — huknął kasztelan zaperzony. —
Wstawaj mi tu zaraz i prowadź, gdzie ci kazałem!

— Panie kasztelanie — prosił Florek —
wstrzymajcie najazd...

Gniew i zdumienie owładnęły kasztelanem.
Szlachta zamilkła, przysłuchując się, co to bę-
dzie. Wielu było widocznie po stronie Florka.

— Poprowadzisz?

— Nie, panie, nie mogę!

Twarz kasztelana zrobiła się szkarłatna.

— Oto mi nagroda za moją opiekę! Ojcem
mu byłem, a on mnie karmi niewdzięcznością!

— Panie kasztelanie, jak ojca was miłuję,
ale nie godzi się iść przeciwko chęci króla i po-
rządek w kraju naruszać...

Kasztelan wybuchnął:

— Precz stąd, zmijo! na chleb z nim i na
wodę! — zawołał do pachołków. — Niech Miko-
łaj wskaże drogę panom braciom do heretyka.
Hajże, na lutra!

Szlachta dosiadła koni, śpiewając i krzycząc,
pociągnęła w stronę Topolnicy, a biedny Florek,
wprowadzony przez pachołków do ciemnej wieży,
siedział znękany i smutny. Czas płynął powoli.

Florek nie tknął ani chleba, ani wody, którą mu pacholek postawił.

Żał mu było, że zmartwił swego dobroczyńcę, miłował kasztelana całą duszą, ale czuł, że inaczej postąpić nie mógł. Musiał zostać wierny zasadom, które mu matka wpajała: »Kochaj Boga i bliźniego. Nie krzywdź nikogo. Służ ojczyźnie«.

— Żebym choć wiedział, żem dobrze uczynił — mówił do siebie.

Wtem drzwi skrzypnęły, wszedł szlachcic, z którym chłopiec poprzednio rozmawiał.

— Przyszedłem pogawędzić z tobą trochę. Dzielnieś postąpił! Ktoby się to, mospanie, po takim dzieciaku tyle stałości, rozumu i mocy spodziewał?...

Florek odwrócił się, otarł oczy rękawem, zrobiło mu się źle na duszy.

— Cóż, bardzo ci tu źle? — spytał szlachcic, siadając na ławie pod ścianą. — Ano ciemno trochę, lecz wytrzymać można, prawda?

— Nie więzienie mnie smuci — odparł zucha chłopiec — lecz to, żem kasztelanowi przykrość sprawił.

— E, przebaczy ci kasztelan łatwo, jak tylko ochłonie z gniewu! to mądry i dobry pan, jeno bardzo gwałtowny.

— Ach, żeby ten luter nie najeżdżał na nas, nie byłoby całego nieszczęścia! — westchnął Florek — Skąd się tu wzięli ci luteranie?

— Jeszcze za Zygmunta Starego zaczęły dochodzić do Polski »nowinki« protestanckie, a za Zygmunta Augusta wielu Polaków przyjęło wiarę

luterską. Teraz powracają znowu tłumnie na łono kościoła katolickiego. Da Bóg, za lat kilkanaście tej niezgody religijnej już nie będzie. O, bo niema rzeczy gorszej nad niezgodę! Co się to działo za czasów bezkrólewia!

Florek słuchał z uwagą. Stary szlachcic rozgadywał się na dobre:

— Już za ostatnich Jagiellonów zaczęło w Polsce wicherzyć się niezgodą. Dwie elekcje powiększyły tylko zło. Targują się i kłócą: ten chce tego króla, ten innego. Wybierając króla, każą mu podpisywać różne przywileje, zapewniające szlachcie coraz więcej wolności. Oj, źle się ta swoboda, a raczej swawola skończy, źle!

— Kiedy to przecie tak pięknie, gdy cały naród sobie króla obiera.

— Pewnie, że pięknie, jeno zgody potrzeba, a nie waśni. Oj, byłem ja ci na tej elekcji, wiem, co się działo.

— Opowiedzcie mi, panie, choć trochę.

— Ano, gdy ostatni z Jagiellonów umarł, zebrała się szlachta z całej Rzeczypospolitej: Koroniarze¹⁾ i Litwini. Elekcji przewodniczy zawsze książdz prymas, arcybiskup gnieźnieński. Pod Warszawą na Woli jest wielki plac ogrodzony — tam się odbywa lekcja. Szlachta wjeżdża trzema bramami: jedną — Wielkopole, drugą — Małopole, trzecią — Litwini. Senat siedzi pod szopą, a szlachta obozuje pod gołym niebem.

— O, chciałbym tam kiedy być! — zawołał ożywiony Florek. — No, i cóż dalej?

¹⁾ Rzeczypospolita Polska składała się z Polski (czyli Korony) i Litwy. To też Polaków nazywano Koroniarzami.

— Ano wybrali sobie za króla — Henryka. Ale w kilka miesięcy Francuz uciekł. Czuł, że nie da sobie rady z taką niesforną szlachtą. Znowu się zebrali, znowu radzili, kłócili się, jedni chcieli cesarza niemieckiego, drudzy Szweda. Nareszcie tłum szlachty z Janem Zamojskim na czele obrał na królową naszą kochaną panią Annę Jagiellonkę, siostrę zmarłego króla, a za męża przeznaczył jej Stefana Batorego, księcia siedmiogrodzkiego.

Oczy Florka zaiskrzyły się radością.

— Dzielny król ten Batory! — krzyknął.

— Oj, dzielny, może złe naprawi. My tu biesiadujemy sobie u pana kasztelana, a on tam na wojnie z Moskwą krew za nas przelewał!

— Czy nie macie, panie, jakich nowin od króla?

— Nie; od czasu, jak zaczął Psków oblegać, nic niewiadomo.

— Podobno car zgadza się na pokój?

— Mówili; czy to prawda, nie wiem... Ale to już czas na mnie — rzekł szlachcic, podnosząc się z ławy. — Zostań z Bogiem, chłopcze!

Gdy szlachcic wyszedł, Florek pogrzył się w zadumie. Potem usiadł na ławie, oparł głowę o ścianę i zasnął.

Zbudziło go dotknięcie czyjejś dłoni. Otworzył oczy. Przed nim stał kasztelan blady i smutny.

Florek krzyknął i zerwał się z ławy.

— Przyszedłem, by dać ci wolność. Idź, gdzie chcesz, byleś mi się tylko na oczy nie pokazywał.

Nie takiej podzięki spodziewałem się od ciebie! — rzekł z wyrzutem.

Chłopiec chciał się wytłumaczyć, usprawiedliwić, gdy wtem okropny krzyk rozległ się w powietrzu. Florek i kasztelan wybiegli z wieży.

Na dziedziniec wpadło około stu ludzi z panem z Topolnicy na czele. Okazało się, że Topolnicki przewidział napadł kasztelana, zebrał więc swych ludzi i czekał. Gdy szlachta rzuciła się, by rabować jego zbór, Topolnicki wypadł z ukrycia na najeźdźców, rozgromił ich i poszedł na Męciny.

Tutaj nie spodziewano się niczego: wszystkie wrota były poroztwierane, czeladź się porozchodziła, sam kasztelan nie miał nawet szabli u boku.

Gdy zwabieni krzykiem Florek z panem Męcińskim wybiegli na dziedziniec, Topolnicki, ujrawszy swego wroga, rzucił się nań z mieczem w rękę. I byłby niezawodnie zabił kasztelana, lecz Florek w mgnieniu oka z krzykiem skoczył do swego pana i zasłonił go sobą. Miecz najeźdźcy ugodził w skroń chłopca. Florek zachwiał się i upadł, brocząc krwią.

Topolnicki, zawstydzony, opuścił oręż, i dwaj wrogowie pochylili się nad rannym chłopcem...

— Wody! — zawołał pan z Topolnicy.

Kasztelan pośpiesznie przyniósł mu wody, i obaj zaczęli obmywać ranę.

Niewinnie rozlana krew młodzieńcza zagaściła w nich płomień zawiści i zemsty.

A czeladź tymczasem łupiła Męciny i mordowała kasztelańskich ludzi. Nagle krzyk ustał,

gwar zamilkł, surmy wojenne zagrały, i na dziedziniec wjechał zbrojny mąż w otoczeniu rycerzy.

Był to sam król Stefan Batory. Wracał właśnie z wyprawy przeciw Moskwie, gdy mu w drodze doniesiono o najeździe. Zboczył więc ku Męcinom, by powstrzymać rozlew krwi i ukarać winnych.

Walka na dziedzińcu ustała. Król zsiadł z konia i rzucił cugle pachołkowi. Brwi jego były zmarszczone; usta zacięte gniewem.

— Potoż — zawołał z bólem — tyle trudów ponosić musiałem, potoż walczyłem z wrogiem, by po powrocie do kraju być świadkiem, jak się mordujecie wzajemnie, jak brat na brata, szlachcic na szlachcica rękę podnosi!

Topolnicki i kasztelan spuścili oczy ku ziemi. Stefan zauważył rannego.

— Kto zranił to dziecko? Kto, jak zwierzę dziki, bezbronne chłopięta morduje?! — zawołał z oburzeniem.

Panowie milczeli zawstyżeni, upokorzeni. Do króla podszedł siwy szlachcic i zaczął opowiadać o wszystkim, co zaszło, o Florku, o dzielności i szlachetności chłopca.

Król wzruszony podszedł do rannego i nachylił się nad nim.

— Odpowiedz mi srogo za tego chłopca! — zawołał.

Wtedy usta Florka poruszyły się zlekka:

— Przebacz, królu nasz, panu kasztelanowi — szepnął — i panu Topolnickiemu także przebacz.

— Jakto i zabójcy twemu przebaczasz? —
spytał król.

— Tak, najjaśniejszy panie, przebacz i je-



...i dwaj wrogowie pochyłili się nad rannym chłopczyną.

mu... on mi ranę wodą obmywał... on nie chciał
mnie zabić...

Łza rozrzewnicnia błysnęła w oczach króla.

— Czy pokój z Moskwą zawarty? — spytał nieśmiało chłopiec. — Jak się skończyła wojna?

Król wzruszony przytulił umierającego do swej piersi; nachylił się nad nim, a pocieszając go, mówił mu o swem zwycięstwie...

— Zwycięstwo... — szepnął słabym głosem Florek i skonał, uśmiechając się błogo.

• Skonał na piersiach mężnego króla — mężny syn szlachecki.

Milczenie panowało dokoła. Z oczu kasztelana i pana Topolnickiego płynęły łzy skruchy...

— Przebaczam wam — rzekł Batory. — Przebaczam wszystkim! Prośba tego dziecka jest dla mnie święta!

— A dla mnie jest to drogo okupioną nauką — odpowiedział zasmucony kasztelan.

— Więcej niech będzie takich ludzi, jak Florek — mówił król po drodze do Jana Zamojskiego — a Polska na cały świat zasłynie.

— Dużo jest takich między nami — odpowiedział ten mądry mąż, prawa ręka króla, jego doradca i przyjaciel, jeno ta złota wolność szlachecka, tą swawola paczy ich charakter i gubi...



Powiastka z czasów Władysława IV.

Po śmierci Stefana Batorego, dzięki energii Jana Zamojskiego, obrano królem królewicza szwedzkiego, Zygmunta Wazę, syna Katarzyny Jagiellonki, drugiej siostry Zygmunta Augusta. Panowanie *Zygmunta III Wazy* (1587—1632) było bardzo nieszczęśliwe dla Polski. Nieroztropny król zaczął wojnę ze Szwecją o koronę królewską. Mimo świetnych zwycięstw Jana Zamojskiego i Karola Chodkiewicza, Inflanty dostały się Szwecji. Król prowadził również wojnę z Moskwą, która ofiarowała tron moskiewski królewiczowi Władysławowi, i z Turcją. Wojna z Turkami zakończyła się zwycięstwem Chodkiewicza pod Chocimiem.

Za króla Zygmunta III-go przeprowadzono w Brześciu unję kościelną, to jest połączenie kościoła prawosławnego z katolickim.

Unja ta rozdzieliła Rusinów na dwa wrogie stronnictwa: unitów i prawosławnych.

Po śmierci Zygmunta obrano królem jego mężnego syna Władysława. *Władysław IV* (1632—1648) uspokoił Polskę, ukończył szczęśliwie wojny z Turcją, Szwecją i Moskwą, której odebrał Smoleńsk i Czernihów. W końcu jego panowania wybuchł bunt kozacki pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, wtedy Polacy ponieśli klęskę pod Żółtymi Wodami i pod Korsuniem.

Zachodnie słońce odbijało się w Dnieprze, nadając jego falom kolor purpurowy.

— Ach, mamó, rzeka krwią płynie! — zawołał niewielki chłopiec, który na rączym koniku harcował obok kolaski pani Zaślawskiej.

— Nie, to tylko zorza wieczorna tak się odbija w rzece — odpowiedziała matka. — Chociaż, mój synu, kto wie, czy wkrótce nasz Dniepr nie zabarwi się istotnie krwią bratnią?

— Czy myślicie, mamó, że te rozruchy kozackie nie skończą się tak prędko?

Pani Zaślawska nic nie odpowiadała, tylko westchnęła smutnie.

— Tyle już razy wybuchały bunty kozackie, a zawsze je tłumiono, i teraz tak będzie, nie frasujcie się, matuchno.

Pani Zaślawska odpowiedziała smutnie:

— Jednak nigdy ojciec nie ruszał z takim pośpiechem do hetmana, nigdy nie kazał nam z Ukrainy chronić się do Kijowa. Niebezpieczeństwo musi być groźne, bo ojciec prosił, żeby je-

chać bez odpoczynku, mówił, że za nami idzie bunt, chłopstwo łączy się z kozactwem, napadają na szlachtę, zabijają jej mnóstwo i grabią majątki.

— A dużo jest tej szlachty na Ukrainie?

— O... dużo. Od czasu unji za Zygmunta Augusta szlachta zaczęła się przesiedlać w stepy, zwane dzikimi polami. Co prawda, postępowała nieoględnie, uciemniała chłopów, ot i dlatego chłopstwo powstało i łączy się z Kozakami.

— To i nasze ziemie plondrują? — spytał Kostek.

— A niech tam, bylebyśmy tylko szczęśliwie dotarli do Kijowa, i żeby tatusia Kozacy na wojnie nie zabili.

Długo tak rozmawiała matka z synem, a smutna była ich rozmowa.

Naraz doszedł ich zoddali jakiś gwar.

— Pani! — zawołał sługa, podbiegając do kolasy — trzeba się gdzie skryć, może tu w trzcinach na brzegu rzeki, zdaleka widać mnóstwo ludzi, może to Kozacy, lub chłopci, a może nawet Tatarzy.

Szybko skrecono w stronę rzeki. Wyprzęgnięto konie, kolasę ukryto starannie w kępie drzew wiśniowych. Pani Zaclawska z Kostkiem i z pachółkami zaszyła się w szuwarzy nad samym brzegiem Dniepru.

Gwar stawał się coraz głośniejszy, wreszcie ukazał się tłum ludzi, uzbrojonych w kosy, drągi, noże, sierpy i cepy. Dziko patrzyły ich oczy, krzykliwa pieśń płynęła im z piersi.

Było to zbuntowane chłopstwo, co wspólnie z Kozakami szło »rizaty pany«.

— Sława Bohu! — szepnął stary Grzegorz, gdy ujrzał tłum rozbestwiony.

Kostek ze zdziwieniem spojrzał na wiernego sługę.

— Oj, paniczu — rzekł Grzegorz, przeciągając z rusińska — gdyby to byli Kozacy, lub Tatarzy, zarazby nas wynaleźli. Przed ich okiem nic się nie ukryje w stepie.

Chłopstwo tymczasem rozłożyło się obozem niedaleko naszych podróżnych.

— Śmierć nas czeka niechybna! — rzekła pani Zaczawska.

— Może Bóg uchroni, uciekniemy, gdy się położą i zasną — rzekł Jaremką, młody pacholek.

Noc zapadała coraz ciemniejsza. Z obozu chłopskiego dolatywał głośny gwar rozmów i śmiech wesoły.

— Matuchno — rzekł Kostek — przejdźcie do kolaski, legnijcie tam, zaśnijcie.

— O nie, pani, wkrótce musimy stąd uciekać — rzekł stary Grzegorz.

Godziny płynęły wolno. Kostka ogarniało ogromne znużenie, czuł się coraz bardziej sennym, oczy mu się kleiły.

— Jenó nie zaśnijcie, paniczu — przestrzegał Grzegorz.

— Matuchno, powiedzcie mi co o Kozakach, to sen ucieknie ode mnie. Powiedzcie, skąd się biorą ciągle ci Kozacy, że ich coraz więcej.

— Kozacy — mówiła szeptem pani Zaczawska — składają się z wychodźców z Moskwy,

z Rusi i Litwy. Tworzą oni między sobą rodzaj bractwa wojennego, coś w rodzaju urzędnika wojska stałego. Każdego przyjmują do siebie: awanturnicy, pijacy, banici ¹⁾, próżniacy, wi-chryście, a nawet i zbrodniarze rozmaici, kry-jący się przed sprawiedliwością, udają się na Sicz i tam przyłączają do kozaczyzny.

— A gdzie ta Sicz się znajduje?

— Na południu, na jednej z wysp Dniepru.

— A z czegoż żyją Kozacy?

— Z najazdów, z grabieży i z wojny. Napa-dają na Turków, na Tatarów, a czasem nawet na samą Rzeczpospolitą, i wracają zwykle z boga-temi łupami.

— Jakiż to niespokojny naród! — szepnął Kostek.

— Bardzo niespokojny i groźny. Król Stefan Batory starał się stworzyć z nich wojsko regular-ne. Po jego śmierci trudno było utrzymać kosa-czyznę w posłuszeństwie, zaczęły się liczne bunty...

— Stłumiono je przecie, to i teraz da się to stłumić, nie obawiajcie się, matuchno kochana!

— Oj, paniczu — wtrącił się do rozmowy stary Grzegorz — teraz gorzej będzie! Chmiel ²⁾ poruszył już i Tatarów, i chłopstwo przeciwko nam.

— Ot i ciężka dola nasza: za nami powsta-nie, przy nas chłopci, do Kijowa daleko...

— A tatuś na wojnie, przy Stefanie Potoc-kim — rzekł Kostek smutnie.

¹⁾ Wygnańcy, wypędzeni z kraju.

²⁾ Tak lud nazywał Bohdana Chmielnickiego.

— Pani, właśnie teraz uciekać nam trzeba. Noc ciemna, choć oko wykół, chłopstwo śpi — rzekł Jaremką.

Wysunęli się wszyscy z szuwarów. Grzegorz szedł naprzód, wskazując drogę, za nim posuwał się Kostek, trzymając za uzdę konia swego i matki, potem pani Zaćławska, na końcu człapał powoli Jaremką, prowadząc za uzdę dwa konie. Przechodzili właśnie koło obozu. Chłopstwo spało przy dymiących ogniach, niektórzy grali na bałabajkach, lub śpiewali, popijając wódkę.

Z niepokojem przesuwali się szuwarami nasi podróżni. Nagle koń Kostka zarżał. Grzegorz położył mu rękę na pysku, lecz już było za późno; jakiś szmer dał się słyszeć, z gęstej trawy wynurzyła się postać człowieka.

— Kto tam?

— Druh — odpowiedział Grzegorz po rusku.

Lecz bystre oczy chłopca dojrzały kobietę i dziecko.

— Lachy! — krzyknął z nienawiścią i przyskoczył do nich; widząc zaś, że nie da wszystkim rady, chwycił za uzdę konia Kostka, objął ramieniem chłopczykę i popędził w stronę obozu.

Jaremką rzucił się na pomoc paniczowi, lecz chłop uderzył go nożem. Jaremką padł, brocząc krwią.

Pani Zaćławska chciała pobiec za swoim jedynakiem, lecz Grzegorz, widząc, że wszelki ratunek był już niemożliwy, przemocą prawie zmusił ją do ucieczki w inną stronę.

— Uciekać, pani, co koń wyskoczy, uciekać!

teraz nie nie pomożemy. Trzeba sprowadzić wojsko. W konie!

W ciszy nocnej rozległ się głuchy tętent. Chłopi rzucili się w pogoń.

— Daj, Boże, by nie dogonili — modlił się Kostek. — Daj, Boże!

Nad ranem pogoń chłopska wróciła bez skutku. Serce Kostka napełniło się wdzięcznością ku Bogu za ocalenie matki. O nią był już spokojny; wiedział, że Grzegorz dowiezie ją bezpiecznie do Kijowa, jeno trwożył się o kochanego ojca, który wyruszył przeciwko zbuntowanemu Kozakom. O sobie nie myślał wcale...

Słońce wstało dziwnie czerwone, jakby krwią zalane. Ciepłe jego promienie ogrzały trochę zziębniętego chłopczykę.

— Słoneczko moje — szepnął — świeć jasno i wesoło nad kochanymi rodzicami!

Tu łkanie ścisnęło go za gardło. Przyszło mu na myśl, że może już ostatni raz ogląda ten cudny świat Boży, ten step szeroki, skąpany w blaskach... był pewien, że czeka go śmierć okrutna z rąk rozbestwionego chłopstwa.

— Może mnie na pal wbiją, albo oczy wyłupią — pomyślał — podobno tak robią z jeńcami.

Dreszcz przeszedł chłopczykę, usteczka mu zbladły.

— Boże mój, ratuj mnie! albo daj mi dużo... dużo siły, żebym mógł spokojnie przyjąć straszną śmierć. Ojcie, matuchno! — krzyknął głośniej — ratujcie!

Wtem wpadł mu do ucha cichy szept.

— Uspokój się, dziecko... bądź mężny... cicho!

Kostek obejrzał się: o kilka kroków od niego leżał człowiek w sile wieku, mocno skrepowany powrozami.

— Kto jesteś, malutki?

— Nazywam się Kostek Zaćlawski.

— A jam Mikołaj z Ożarowa.

— Czy nas zamordują te chłopcy? — spytał cicho chłopczyzna.

— Chyba nie dzisiaj, mnie już trzeci dzień tak trzymają.

Tu pan Mikołaj spojrział ze współczuciem na Kostka i szepnął zcicha:

— Biedne dziecko, już i ono cierpieć musi... Pewno się nad niem pastwić będą. Daj mu, Boże, śmierć lekką. Jakżeś się tu dostał do tej niewoli? — spytał.

Kostek zaczął opowiadać.

— Może nam Grzegorz jaką pomoc sprowadzi. Niedaleko tu stoi wielki hetman koronny z wojskiem — rzekł Ożarowski.

Chłopi nie ruszali się z miejsca. Widać i oni także słyszeli o wojsku polskim wpobliżu. Czekali więc na Chmielnickiego, by się z nim połączyć.

Z rozmowy, jaką kilku chłopów z sobą prowadziło, Kostek wymiarkował, że jeńców przeznaczono na podarek bałce Chmielowi. Odetchnął swobodniej. Jakaś nadzieja zaczęła mu świtać.

Ożarowski również się ucieszył.

— Da Bóg, może los się nasz odmieni... może nasi przybędą — rzekł.

Nadeszło południe, upał był straszny. Chłopi pijani zaczęli kłócić się o Lachów: jedni chcieli ich zaraz zamordować, drudzy zostawić dla Chmiela. Kłótnia stawała się coraz bardziej głośną. Zaczęto wywijać cepami i kosami, spór mógł mieć krwawy koniec. Jeden młody chłop, upojony wódką, podbiegł do Ożarowskiego.

Naraz ogromne zapanowało milczenie. Już chłop rękę podnosił, by zadać cios śmiertelny bezbronnemu jeńcowi...

— Stój — krzyknął nagle Kostek, a tyle było mocy w jego głosie, że chłop mimowoli opuścił rękę.

To uratowało Ożarowskiego. Odciągnięto pijanego na bok, kłótnia ucichła.

— Nie wiem, czy mam ci dziękować, mój chłopcze. Uratowałeś mi życie, lecz kto wie, czy mnie gorsza śmierć nie czeka.

Kostek podniósł oczy do nieba.

— Bez woli Boga włos nam z głowy nie spadnie! — rzekł poważnie.

Zapanowało długie milczenie. Kostek rozmyślał nad tym okropnym buntem, co stawiał do walki dzieci jednej ziemi, jednej matki-ojczyzny.

— Czy to prawda, że Chmielnicki mści się za swoje krzywdy i innych do powstania wzywa? — spytał Ożarowskiego.

— Prawda. To ten nieszczęsny podstarosta Czapliński winien temu wszystkiemu; najechał mu futor ¹⁾, obił jego syna, porwał mu żonę. Ko-

¹⁾ Zm. roda.

zak szukał sprawiedliwości i poparcia w sądach, lecz jej nigdzie nie mógł znaleźć. Więc zbuntował innych Kozaków, a potem przyzwał Tataków, którzy chętnie stają do każdego rabunku. Chłoptwo ruskie poszło za nim, a miało także swoją smutną przyczynę, bo je panowie ciemniżyli i uciskali... Chmielnicki głośno rozповіда, że walczy nie przeciw królowi i Rzeczypospolitej, lecz przeciw panom.

— Więcej, niż panowie, ucierpi cały kraj!? — zawołał Kostek.

— Smutna to rzecz, taka bratnia wojna — odpowiedział Ożarowski.

Zaledwie jednak wymówił te słowa, gdy między chłoptwem wszczął się jakiś ruch niespokojny...

Zaczęto skupiać się u rzeki, rozprawiać, ostrzyć kosy, chwytac konie.

— Co to znaczy? — spytał Kostek.

— Może pomoc — rzekł wzruszony Ożarowski.

Jakoż w kilka chwil później dał się słyszeć tętent i głośny okrzyk:

— Jezus, Marja! Bij, zabij!

To lekka chorągiew¹⁾ pana hetmana szła na ratunek. Zaczęła się bitwa i rzeź okrutna. Szczęściem, chłopci w zamieszaniu i trwodze zapomnieli o jeńcach i zostawili ich przy życiu.

Kostek z bijącym sercem wsłuchiwał się w okrzyki, wypatrywał swych zbawców.

¹⁾ Jazda polska dzieliła się na ciężką i lekką. Do pierwszej należeli husarze i pancerni; do drugiej: pancerni lekkiej chorągwi, pułki tatarskie, wołoskie, kozackie i t. p.

Wtem jakieś silne ramiona uniosły go z ziemi, a ostra szabla przecięła krępujące go powrozy.

— Grzegorzu, czy to ty, skądżeś się tu wziął.

— Ja, detyno myłénkaja — zawołał wierny



...dał się słyszeć głośny okrzyk: — Jezus, Marja! Bij, zabij!

sługa, i łzy ciurkiem popłynęły po jego ogorzałej twarzy.

— Gdzie matuchna?

— Ostała. Rozehorowała się z frasunku, ale ozdrowieje, gdy was ujrzy, paniczu. Do nóg się rzuciła panu porucznikowi, by was ratował.

Niezaługo walka się skończyła. Chłopi zostali pokonani, wielu z nich było zabitych, albo ciężko rannych, reszta puciekała. Porucznik kazał trąbić do odwrotu.

Kostek przyłączył się do oddziału. Nie zapomniiał jednak o swym towarzyszu niedoli. Poszedł do porucznika.

— Jeszcze jeden jeniec był, proszę waćpana, Mikołaj z Ożarowa.

— O Jezu! Toż to brat mój! — zawołał porucznik.

Zaczęto szukać i wśród stosu trupów znaleziono pana Ożarowskiego. Żyw był, choć ledwie dyszał, tak go stratowały konie walczących. Kostek zaczął mu zwilżać wodą skronie i usta.

Mikołaj otworzył oczy, poznał brata, uśmiechnął się.

— Tenci to kawaler uratował ciebie — rzekł porucznik, wskazując na Kostka.

— To już po raz drugi — rzekł Ożarowski i omdlał.

— Jedźmy już, jedźmy! — naglił Kostek.

Porucznik wydał rozkaz, wojsko ruszyło.

— Pilno ci do matki, mości kawalerze? — rzekł.

— A gdzież jest matuchna, czy zdrowa?

— Matusia została w ukryciu, kilku rycerzy jest przy niej; myśmy wam pośpieszyli z pomocą.

— Bóg wam zapłać! — rzekł Kostek wzruszony.

— Nic to! — odpowiedział porucznik — byleby tylko nad Chmielnickim odnieść zwycięstwo.

Stefan Potocki poszedł na niego, dzielny to pan, choć młody. Daj Boże, aby zmógł Kozaków!

— A choćby Stefan Potocki ich nie zmógł, to król Władysław zmoże; złamał już Moskwę, Turków i Szwedów; wzmocnił kraj, zachwiany przez Zygmunta III, to i z Kozakami sobie poradzi.

— Dodajecie mi serca, panie kawalerze — rzekł porucznik — a tak mi jakoś niespokojnie... Od dwóch tygodni jestem na podjazdach, a wieści od Stefana niema. Sam hetman niepokoi się o syna.

— Boże mój! — zawołał Kostek — toć i ojciec mój jest przy młodym Potockim, a i o nim żadnej wieści stamtąd niema!

Straszne przeczucie ścisnęło mu serce.

— Patrzcie, panie poruczniku, oto jakiś rycerz do nas zdąża! Coś mu się bardzo śpieszy — zawołał jeden z żołnierzy.

— Poznaje swoich... zawraca ku nam, kto to taki?...

W kilka minut potem rycerz był już przy wojsku. Zbroja jego była pocięta, twarz blada, ubranie w strzępach, koń zziąjany...

— Ojciec! — krzyknął Kostek i przypadł doń.

Pan Zaclawski spojrzał ze zdumieniem na syna.

— Kostek! Co ty tu robisz? gdzie matka?

— Chłopi mnie schwytali i od matki oddzielili, pan Ożarowski wybawił nas... Matka bezpieczna, czeka...

— Skąd wracacie? — spytał Ożarowski pana Zaclawskiego.

— Z pod Żółtych Wód... klęska... Chmielnicki z Tatarami zwyciężył... Stefan Potocki ranny, umierający...

Tu znużony rycerz zachwiał się na kulbace. Dano mu wina i pożywienia. W kilka godzin przybyli do miejsca, gdzie schroniła się pani Zaclawska, drżąca z trwogi o syna. Radość jej była bez miary, gdy ujrzała swych ukochanych...

Nazajutrz pan Zaclawski z braćmi Ożarowskimi pośpieszył do hetmana, a Kostek z matką i Grzegorzem ruszyli do Kijowa. Smutne było ich pożegnanie.

— Nie frasujcie się — mówił chłopiec do rodziców — król Władysław dzielny... Zbije Kozaków i Tatarów. Bunt ucichnie.

Lecz inne wieści przysły do pani Zaclawskiej do Kijowa.

»Żono ukochana i synu mój — pisał pan Zaclawski — wielki hetman koronny, Mikołaj Potocki, z hetmanem koronnym, Marcinem Kalinowskim, dostali się z mnóstwem rycerstwa do niewoli pod Korsuniem. A na kilka dni przed klęską król Władysław umarł«.

— Boże mój! — zawołał Kostek — jakaż to klęska!

— Klęska — powtórzyła ponuro pani Zaclawska.

Wtem wszystkie dzwony w Kijowie zaczęły bić na znak żałoby po zmarłym królu...

A kraj cały płynął krwią bratnią.

.

Bunt kozacki został uśmierzony dopiero za Jana Kazimierza. Pan Zaciłowski padł z ręki Chmielnickiego. Żona jego umarła z żalu i tęsknoty po nim.

Kostek został się na opiece Grzegorza i wyrósł na dzielnego obrońcę kraju.

OBRONA CZĘSTOCHOWY



Powiaśtka z czasów Jana Kazimierza.

Po śmierci Władysława IV obrano królem brata jego, *Jana Kazimierza* (1648—1668). Polacy odnieśli kilka zwycięstw nad zbuntowanym kozactwem. Pokonany Chmielnicki zwrócił się o pomoc do Moskwy. Car Aleksy wkroczył do Polski, zajął Smoleńsk i Wilno, Chmielnicki napadł na Lwów. Korzystając z niedoli polskiej, król szwedzki, Gustaw Adolf, naszedł Rzeczpospolitą i zajął Wielkopolskę, Warszawę i Kraków, a elektor brandeburski zajął Prusy. W ten sposób kraj cały został załany przez nieprzyjaciół.

Dzielna obrona Częstochowy podniosła ducha narodowego. Zaczęto zwyciężać Szwedów. Jednocześnie zawarto pokój z Moskwą i Niemcami, którzy cofnęli swe wojska z Polski. Szwedzi pobici sromotnie uciekali. Stefan Czarniecki gonił ich aż do Danji.

Zawitał spokój, lecz niedługo gościł w Polsce. Zaczęły się znowu wicherzenia na Ukrainie. Car Aleksy wkroczył do Polski. Rokosz ¹⁾ szlachty pod przewod-

¹⁾ Bunt poddanych przeciwko królowi.

nictwem Lubomirskiego dopełnił miary niedoli. Jednocześnie sułtan turecki zaczął się gotować do wojny. Zawarto więc rozejm z Moskwą, oddając jej Smoleńsk, Czernihów i ziemie za Dnieprem. Turków pobił Jan Sobieski.

Gdy po raz drugi spokój zawitał w Polsce, Jan Kazimierz złożył koronę i wyjechał do Francji.

Niedaleko Częstochowy, tuż prawie pod klasztorem Jasnogórskim, leży wioseczka Lisiniec. Od dworu lisinieckiego do klasztoru biegła wąska droga, wysadzona strzelistemi topolami. Przy drodze na pniu siedział mały chłopiec. Łzy płynęły mu z oczu, łkanie rozrywało pierś chłopięcą.

Straszny obraz stanął mu przed oczami.

...Przyszło kilkunastu rajtarów szwedzkich, którzy dowiedzieli się, że chłopci broń mają, i zaczęli strasznie pastwić się nad nimi: poucinali biednym kmiotkom prawe ręce. Potem wpadli do dworu... Matuchna chłopczyny stanęła we drzwiach, broniąc wstępu. Szwedzi rzucili się na nią, a jeden z nich przebił ją szpadą nawylot. Niešťczęśliwa upadła bez życia. Napastnicy wpadli do komnaty. Nikogo tam nie było, jeno on, Stach biedny, stał przerażony, załamując rączyny. Szwed kopnął go z całej siły, dzieciak upadł bez czucia obok trupa matki.

— Boże mój! — łkał — co ja teraz pocnę, matuchna na cmentarzu, ojciec na wojnie.

Długo tak siedział biedaczek, pogrążony w rozpacz i żalu. Naraz w powietrzu rozległ się cichy, łagodny dźwięk dzwonów.

Chłopiec podniósł oczy, przed nim wznosiła się wysoka wieża, i czerwienił dach klasztoru ja-

snogórskiego. Jakieś ciche ukojenie spływało balsamem na biedną duszyczkę Stacha.

— Pewno matuchna w niebie prosiła Matki Boskiej o pocieszenie dla mnie — pomyślał sobie chłopiec.

Przypomniiał sobie, że ludzie mówili, że wkrótce Szwed ma ruszyć na Jasną Górę, aby złupić bogaty klasztor.

— Pójdę tam, powiem ojcom Paulinom, żeby się bronili.

Wstał z pieńka i zaczął biec w stronę klasztoru. Po drodze przysławał, by złapać tchu, potem biegł dalej. Klasztor był coraz bliżej. Wreszcie, zmęczony stanął przed wysokimi murami.

— Ej, nie zdobędą go Szwedzi! — pomyślał z radością i przeszedł bramę.

W dziedzińcu ludu było dużo, wszyscy cisnęli się do kaplicy Najświętszej Marji Panny.

Stach również ukląkł przed cudownym obrazem i zaczął prosić Świętej Panienki o pomoc, opiekę i radę.

Nie zauważył nawet, że kaplica się opróżniła, że wszyscy ludzie wyszli, że przy nim stał tylko zakonnik w białym habicie.

— Co ty tu robisz, chłopcze? — spytał łagodnie.

Chłopiec opowiedział całe swoje nieszczęście.

Paulin wziął go za rękę i wprowadził do obszernej sali.

— Poczekaj na mnie — rzekł — pójdę do ojca przeora; zaraz wrócę.

Jakoż wrócił po chwili.

— Chodź za mną, chłopcze — powiedział.

Przeszli przez wąski korytarz, weszli do celi ojca przeora. Był to niewielki pokoik o jednym oknie. Pod ścianą stało proste, drewniane łóże. Dwa stołki, stół, półka z wielkimi księgami i duży, czarny krucyfiks w rogu dopełniały umeblowania.

Braciszek wyszedł. Przed Stachem stał ks. Augustyn Kordecki. Był szczupły, wzrostu wysokiego. Jasne oczy jego wyrażały wielki spokój, dobroć i hart ducha.

— Słyszałem o napadzie Szwedów na Lisiniec, o śmierci twojej matki — rzekł cicho. — Jeśli chcesz, zostań u nas, chłopczyku. Ale ci niebardzo dobrze tu będzie, bo się i na nas Szwedzi zbierają.

— Ojczy — zawołał Stach — obronicie się, takie mocne mury macie.

— Moje dziecko, Kraków i Warszawa miały mocniejsze mury... Nie mury nas bronią, jeno Matka Boża.

— Jeżeli pozwolicie, ojczy, to zostanę — zawołał Stach z zapalem — będę z wami bronił klasztoru i służył Marji.

Przeor uśmiechnął się pobłażliwie i wyszedł wyszukać odpowiedniego pomieszczenia dla chłopca.

Choć wieści o napadzie Szwedów na Jasną Górę nie były uzasadnione, przeor gotował się do obrony. Stach widział, jak zwożono proch i kule, jak sprowadzano armaty, wyjmowano broń. Pan Stefan Zamojski i Piotr Czarniecki zaczęli ćwiczyć chłopów we władaniu bronią.

Jednego dnia nasz chłopiec, chodząc po wa-

łach, zauważył, że mury w paru miejscach były poszczerbione. Doniósł o tem przeorowi. Ksiądz Kordecki pogładził go po głowie.

— Dziękuję ci, chłopcze, mam teraz czworo oczu: twoje i moje!

I zaraz kazał naprawiać szczyby. Zaopatrzono również klasztor w żywność, pozamykano bramy. Roboty było huk! Stach biegał, jak strażak, pomagał dzielnie przeorowi, roznosił jego rozkazy, zdawał mu relację. Wszędzie był i wszystko widzieć musiał.

— Stachu, obacz ino, czy są już kule przy armatach?

Chłopiec poszedł w jedną stronę, a ksiądz przeor w drugą doglądać murów. Po chwili Stach nadbiegł.

— Są, przewielebny ojcze, poskładane w kupie koło każdej armaty. Pan Zamojski się pyta, czy są muszkiety dla wojska?

— Powiedz, że jutro nadejdą.

I tak bez ustanku Stach biegał z jednego miejsca na drugie.

— Wicherby lepiej od niego nie usłużył, taki prędki — rzekł ksiądz Piotr, ten sam, który chłopca spotkał w kaplicy.

— Lepiej to dla niego, zapomni o swoim nieszczęściu, o śmierci matki — odpowiedział ksiądz Kordecki.

Wreszcie wszystkie przygotowania zostały ukończone.

Wieczorem Stach siadł przy murze, zapałtrzony na swój Lisiniec; w oknach chat świeciły nikłe ogniki, ale dworu nie było widać.

— Ciemno tam, pusto! Matusz w ziemi, ojciec na wojnie, a ja sam! — mówił głośno, patrząc w dal.



...Nie narzekaj — rozległ się łagodny głos przeora.

— Nie narzekaj — rozległ się łagodny głos nad jego uchem.

To ksiądz przeor stał przed Stachem, poło-

żył rękę na jego jasnej główce, zajął w oczy chłopczyny, pełne głębokiego smutku.

— Nie narzekaj, chłopcze. Matka tam w niebie u Najświętszej Panny, a my tu na ziemi także Bogarodzicy służymy społem.

Stach w milczeniu ucałował rękę przeora.

Naraz usłyszał szum miarowy.

— Ojciec! ani chybi — to Szwedzi. Idą, idą!

— Gdzie?

— O! tam, jakiś szum słyszeć, jakby przed burzą.

— Przejdzie ta burza, jak przyszła, przejdzie bez śladu, jeno powietrze nam oczyści — rzekł proroczym głosem ksiądz Kordecki i poszedł wydawać rozkazy, by bramy zamknięto i broń miano wpogotowiu.

Rzeczywiście, Szwedzi chcieli napaść niespodzianie w nocy na klasztor. Lecz im się to nie udało; zaczęli więc sypać szanice dokoła klasztoru, ustawiać działa. Nikt nie spał tej nocy na Jasnej Górze.

— Patrzcie, łuna na niebie! — rzekł jeden z żołnierzy.

— To Lisiniec się pali! — zawołał Stach.

— Pierwszy to piorun tej złowrogiej burzy — rzekł ksiądz Piotr.

Naraz Szwedzi przysłali wezwanie, żeby księża Paulini otworzyli bramy klasztorne, bo w przeciwnym razie klasztor z ziemią zrównają.

Przeor odpowiedział odmownie.

— Ha! — zawołał generał Miller — zdobędziemy ten »kurnik« szturmem.

I zaczął się szturm. Zagrały działa szwedz-

kie, klasztorne odpowiedziały im ochoczo i takim gęstym ogniem przywitały Szwedów, iż ci zaczęli się cofać w nieładzie.

— Aha, dobrze wam tak! Naści kaszy, Szwedzie! — wołał Stach uradowany.

Pływały dni za dniami, Miller rzucał się i zrywał, a »kurnika« zdobyć nie mógł. To też pałał straszną zemstą, wciąż nowe zastępy do szturmów prowadząc. Armaty huczały bezustanku; zdawało się, że straszne pociski wszystko obróćą w perzynę. A klasztor stał ciągle.

Ksiądz Kordecki obchodził mury z Przenajświętszym Sakramentem w uroczystej procesji. Widok ten dodawał męstwa, krzepił serca walczących.

— Okrutnie nam się dobrze robi, gdy płynie pieśń pobożna — mówił Stach, który ciągle się uwijał wśród świstu kul, posługując żołnierzom.

Przeor uśmiechnął się.

— Doprawdy? — spytał.

— A jakże, ojcze! Ale tam, na dole zbiera się ogromna moc Szwedów; widocznie chcą nas napaść całą, wielką kupą.

— Poradzimy i na to — rzekł ks. Kordecki.

Na drugi dzień, wśród strasznego szturmów, gdy żołnierze dech już zaczęli tracić i wiarę w swe siły, w możność wytrwania, z wieży odezwała się kapela, i popłynęła ku niebu pieśń nabożna:

Bogarodzica Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!...

Zapał owładnął walczących; szturm szwedzki znowu został odparty.

Miller, gdy mu doniesiono o tem, zazgrzytał zębami ze złości.

— Jutro nowy szturm! — rozkazał. — Teraz niech żołnierze odpoczną.

Cisza zapanowała w obozie, lecz nie przyniosła spoczynku utrudzonemu wojsku, oblegającemu klasztor. Żołnierze szwedzcy musieli noce spędzać o chłódzie i głodzie, nie można było rozpałać ognisk, ani uwarzyć sobie jedzenia, gdyż z dział klasztornych celnie strzelano do tych ognisk.

— To cisza przed nowym szturmem, prawda, wielbny ojcze? — rzekł Stach do ojca Piotra.

— Czy to prawda, że tych Szwedów sprowadził do Polski zdrajca Radziejowski? — spytał jeden z żołnierzy, stojący koło muru.

— A tak — odpowiedział ks. Piotr — a polscy panowie z Krzysztofem Opalińskim na czele oddali im całą Wielkopolskę.

— Zdrajca Radziwiłł, wielki hetman litewski, podobno całą Litwę im poddał — zawołał Stach oburzony.

— Tak, tak, moje dziecko, zamiast bronić się przed nieprzyjacielem, samiśmy mu oddali naszą ziemię. Panowie wyrzekli się swego Jana Kazimierza, za króla przyjęli Karola Gustawa. Teraz cały kraj zajęty jest przez Szwedów, Moskwę, Kozaków i elektora brandeburskiego.

— Ani kawałka ziemi z całej Rzeczypospolitej nie zostało dla naszego króla, musi się tulać na obczyźnie — rzekł żołnierz.

— Na Śląsku pono siedzi — dorzucił drugi.

— Jakie to straszne! — zawołał Stach — to jakby się go własne dzieci zaparły!

— Straszne, mój synu, cały kraj w rękę wroga.

— To czegoż my się bronimy, naco? — zawołał z rozpaczą Stach. — Już wszystko przepadło! Znikąd niema ratunku.

— Nie, nie wszystko! — rozległ się proroczy głos przeora, który, przechodząc, usłyszał rozmowę. — Nie wszystko przepadło! Nad nami czuwa Bogarodzica Marja. Ona obroni swój kościół. Ona poruszy serca swego ludu! Jeżeli my tu wytrwamy, ruszy się cała Polska i Litwa, i pobijemy Szweda i wyżeniam go het! za morze!

Stach słuchał zdumiony. Zrozumiał, jak wielką doniosłość miała obrona Częstochowy, zrozumiał, że tu nie o klasztor chodziło, lecz o losy całej Rzeczypospolitej. I duma napełniła mu serce, że on choć trochę rękę do tego wielkiego dzieła przykłada.

Rankiem zaczął się nowy szturm. Lecz kule szwedzkie obijały się o mury i, spadając, raziły samych Szwedów, lub też przelatowały nad klasztorem, dosięgając szwedzkich szanców z przeciwnej strony.

— Boże! toż to cud prawdziwy! — mówili obleżeni.

Szwedzi zaczęli głowy tracić ze strachu, bali się strzelać do Polaków. Żołnierze ich twierdzili, że widzieli Niewiastę, bezpiecznie wśród kul po dachu klasztornym chodzącą i okrywającą kościół swym niebieskim płaszczem.

Tymczasem na wieść o obronie Częstochowy

w całym kraju szlachta i chłopci ruszyli się i łączyć jęli, by razem gromić Szweda. Miller zrozumiał, że jeżeli nie zdobędzie Jasnej Góry, Polska wymknie się z rąk szwedzkich, tak głośno miłość dla Bogarodzicy ozwała się w sercach ludu polskiego i do walki narodowej uzbroiła. Z coraz większą więc wściekłością przypuszczał szturmy, lecz nadaremnie — »kurnik« się bronił.

Nadeszły święta Bożego Narodzenia, a Szwedzi wciąż stali pod murami. Stracili wielu ludzi, gdy tymczasem w klasztorze niewiele szkody zrobili.

W samą wigilję Stach otrzymał lekką ranę w nogę od muszkietu szwedzkiego. Kilka kul przeleciało tuż nad uchem przeora i uwięzło w murze. Ksiądz Kordecki kazał te kule później wmurować¹⁾ na pamiątkę. Rannego chłopca zanieśiono do komnaty. Wieczorem Stach dostał silnej gorączki, zaczął wołać matki i ojca, by przyszli łamać się z nim opłatkiem. Przeor całą noc przepędził u łóżka chorego dziecka, ze łzami w oczach błagając Bogarodzę o zdrowie dla niego. Nad ranem gorączkowe wypieki na twarzy Stacha znikły, spał cicho, spokojnie, oddychał równo.

— Uratowany — szepnął przeor.

Jakoż niedługo Stach otworzył oczy.

— Przewielebny ojcie — rzekł, wyciągając ręce do przeora, jak maluchna dziecina — widziałem dziś matuchnę, przyszła przełamać się ze mną opłatkiem.

¹⁾ Teraz jeszcze w murach kaplicy oglądać można te kule szwedzkie.

— Cicho, nie mów, nie męcz się — ostrzegł go przeor łagodnie.

Po kilku dniach Stach już czuł się zdrowym i rwał się na mury, na Szweda.

— Poleż, poleż jeszcze — uspokajał go ks. Kordecki.

— Czy ja prędko wyzdrowieję?

— Prędko, prędko, jeżeli tylko będziesz posłuszny.

— Co tam posłuszny! Chciałbym być mężny: zbić Szwedów, wypędzić ich z Polski, sprowadzić napowrót króla Jana Kazimierza.

Przeor uśmiechnął się smutnie.

— Gorsze jeszcze czeka nas nieszczęście, gorsze od Szwedów.

— Jakie? — zawołał Stach przerażony.

— Słyszałeś zapewne, że na początku panowania naszego króla Siciński jednym słowem »veto« zerwał cały sejm i wszystkie uchwały sejmowe unieważnił.

— Słyszałem — rzekł Stach, otwierając szeroko oczy ze zdumienia, — ale to przecież nie gorsze od Szweda.

Przeor głową pokręcił.

— Szwedzka burza — rzekł — przejdzie, jak przyszła, lecz zły przykład, który dał Siciński, spowodzi nasz upadek. Rozumiesz ty, co to znaczy, że jeden, jedyny człowiek, jeden szlachcic swoim »veto« sejm zerwać może? A bez sejm nic królowi robić nie wolno: ani wojny prowadzić, ani wojska na obronę kraju zaciągać. Odtąd źli ludzie będą wicherzyli nasze sejmy, aż doprowadzą kraj do upadku. Tu męstwo nic nie po-

może, jeno zgoda, posłuszeństwo. Lepiej być posłusznym, niż mężnym.

To mówiąc, przeor, jak dobry duch biały, wysunął się z izby, smutnie powtarzając:

— Liberum veto! Liberum veto! To nas zgubi!

Nadeszły silne mrozy, Stach wciąż leżał chory. Wolałby zerwać się z łoża i walczyć tam ze Szwedem, niż leżeć w ciepłej pościeli, lecz przeor nie pozwalał mu się podnosić. Stach więc powtarzał sobie zcicha:

— Lepiej być posłusznym, niż mężnym — i wtórował półgłosem pieśniom, co z wieży płynęły, dodając serca walczącym.

Wreszcie pewnego dnia wszedł do Stacha przeor, promieniejący szczęściem. Chłopiec, zupełnie już zdrow, chodził po celi.

— Przewielebny ojcze! — zawołał — jużem zdrow.

— No, to powiem ci wesołą nowinę.

— Pozwólcie mi iść na Szweda! na mury! jakoś nie strzelają od samego rana.

I Stach podbiegł ku drzwiom.

— Czekałże! A to wicher, nie chłopak! A nowinę chcesz wiedzieć?...

— Ach, prawda, nowina. A potem na Szweda! Przeor roześmiał się.

— Na jakiego Szweda? Niema już Szwedów!

— Odeszli?! — zawołał Stach radośnie.

— Tak, odeszli, chwała Bogu. A teraz chodź, przybył tu jeden rycerz, nazywa się Stefan Lisieniecki.

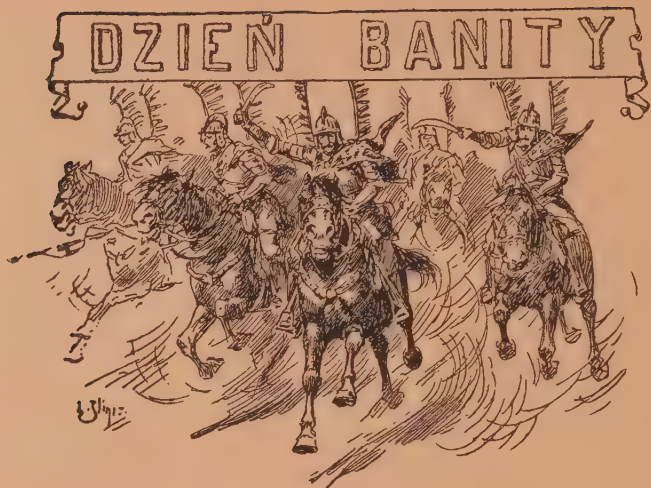
— Ojciec! — krzyknął Stach i jak strzała wybiegł z celi.

Po chwili płakał z radości w objęciach ojca.

Po przywitaniu Staszek z radosną nowiną obchodził wszystkich:

— Mości panowie! król wraca ze Śląska! Pobijemy Szweda! Lud wszędzie powstaje! Stefan Czarniecki dowodzi! Pobijemy Szweda!

A sprawca tego wszystkiego, bohater jasnogórski, o. Augustyn Kordecki, leżał krzyżem w kaplicy i modlił się gorąco.



Powiadka z czasów Jana III Sobieskiego.

Po abdykacji ¹⁾ Jana Kazimierza obrano królem *Michała Korybut-Wisniowieckiego* (1669—1673), syna ks. Jeremiego Wiśniowieckiego, który znaczne usługi oddał ojczyźnie za czasów buntu Chmielnickiego. Sułtan turecki z ogromną armją ruszył na Polskę, wziął Kamieniec. Zawarto z nim haniebnny traktat w Buczaczu, oddający Turkom całą Ukrainę i Podole. Szlachta tymczasem burzyła się i spiskowała. Wtenczas wystąpił przeciwko Turkom hetman Jan Sobieski; uderzył na ich obóz pod Chocimiem na dawnym obozowisku Chodkiewicza i zdobył go. W tym czasie umarł król Michał. Wówczas obrano królem Jana Sobieskiego za jego zasługi dla Polski.

Jan III Sobieski (1674—1696) ukończył szczęśliwie wojnę z Turcją, odebrał jej Podole i Ukrainę. Gdy Turcy oblegli Wiedeń i zagrozili całej Europie, cesarz

¹⁾ Abdykacja — złożenie korony.

austrjacki zwrócił się do Jana III o pomoc. Sobieski pośpieszył na ratunek, pokonał Turków i Wiedeń oswobodził w 1683 roku.

W strachu i rozpacz pływały dni za dniami w stolicy państwa austriackiego. Naokoło, gdzie okiem tylko sięgnąć, opasała Wiedeń turecka potęga. Jak barwne kwiaty lśniły się w sierpniowym słońcu tureckie chorągwie, błyszczały półksiężycy. Nad namiotem Wielkiego Wezyra, Kara Mustafy, powiewała zielona chorągiew Proroka ¹⁾.

Cesarz Leopold nie śmiał przyjąć z odsieczą. Mieszkańcy stracili już wszelką nadzieję.

Na jednej z bocznych ulic miasta mieszkała polska rodzina Goćławskich. Pan Goćławski pochodził z Podola galicyjskiego i był niewinnie posądzony o zabójstwo swego sąsiada, z którym żył w niezgodzie. Sądy skazały go na banicję ²⁾. Osiedlił się więc w Wiedniu wraz z żoną i dziećmi.

Cała rodzina tęskniła do kraju; pan Goćławski starał się o zniesienie niesprawiedliwego wyroku, lecz starania jego nie odniosły żadnego skutku. Frasowali się wszyscy okrutnie.

Tomek, jedenastoletni syn pana Goćławskiego, był zwykle smutny i poważny; pani Goćławska płakała po nocach, jedna tylko Bronia wesołością swoją cieszyła rodziców i brata.

— Czego się frasujecie? — mówiła rezolutna dziewczyna — jak tylko Turcy pójdą sobie precz, pojedziemy z matusią do Polski, do króla Sobieskiego, i zaraz wszystko będzie dobrze.

¹⁾ Mahometa.

²⁾ Wypędzenie z kraju.

— Dobrze? A jak ty poradzisz, mądra główko, żeby Turcy poszli sobie precz?

— Jakto, więc Turcy wezmą Wiedeń?

— Naturalnie, miasto już dłużej bronić się nie może.

Pani Gocławska załamała ręce.

— Czekaj nas zatem niewola turecka. Ach! czemuśmy nie w kraju! tam król nasz mężny nie dałby swego ludu brać w jasyr.

— Jeżeli Wiedeń wezmą, cała Europa w ich rękach — rzekł ponuro pan Gocławski. — Turcy poprzemieniają kościoły w meczety.

— Więc niema już ratunku, ojczyzna? — spytał Tomek.

— Niema, niema, mój synu, pójdziemy w jasyr.

— Jednak jest! — zawołała Bronia. — Niechby tu nasz Sobieski przyszedł, zarazby on pokonał Turków!

— O, tak, Sobieski już nieraz bił Turków. Za króla Michała całą Polskę od nich ocalił. Hej! byłem ja jego żołnierzem! Pod Chocimiem walczyłem!

— Ależ tu straszna ich potęga stoi pod Wiedniem — rzekł Tomek.

— Potęga! Być może, lecz król Sobieski potrafiłby ją złamać! — zawołała Bronia z zapalem.

— To chyba niemożliwe, żeby nasz król tu przyszedł — rzekła pani Gocławska.

— Dlaczego? Czy nam to pierwszozna za całą Europę krew przelewać? A Władysław Warneńczyk za kogo poległ? — mówił z ogniem pan Gocławski.

— Więc niech przyjdzie król Sobieski i zbije Turków, prawda, tatusiu?

Pani Gocławska i Tomek uśmiechnęli się pobłażliwie.

— Kto wie! — rzekł z zamyśleniem ojciec — jeżeli takiej małej terkotce (tu pan Gocławski pocałował »terkotkę« w czoło), jeżeli takiemu dzieciakowi...

— Dzieciakowi? — powtórzyła zadąsana Bronia.

— Dziewięć lat ma i chce już być stateczną niewiastą — rzekł Tomek.

— Cicho, dzieci, nie przerywać... jeżeli, powiadam, takiemu dzieciakowi przyszedł taki świetny projekt do zapalonej główki, to dlaczego nie miałyby przyjść znakomitym politykom, wytrawnym mężom. Imię Sobieskiego przecie na cały świat rozbrzmiewa. Kto to wie, kto wie? — powtórzył.

— Wszystko w ręku Boga — rzekła pani Gocławska — byleby tylko On nas miał w swej opiece i bronił w nieszczęściu!

— W podwójnem nieszczęściu: Turcy i banicja. Nawet nie wiem, które z nich większe — szepnął pan Gocławski i posmutniał.

— Tatusiu, nie myślcie o tem! — zawołała Bronia, całując ojca serdecznie; pobiegła do brata, objęła go za szyję.

— Czegoś ty taki smutny? — spytała. — Jeśli się Turków boisz, toś tchórz!

— Ej, Broniu! Nie boję ja się Turków, lecz banicja tatusia tak mię martwi. Lepiej być w niewoli tureckiej, niż nosić złe imię. Widzisz prze-

cież, jak się nasz biedny tatuś frasuje: zrobili go zabójcą, wygnali z kraju, a on niewinny! Och, to straszne!

— A jakby na to poradzić? — spytała dziewczynka. — Ty, Tomku, siedzisz tylko, trapiasz się, wzdychasz, wołasz: straszne, straszne, a o radzie nie myślisz.

— Masz słuszność, Broniu, ale cóż my poradzić możemy?

— Pomyśl sam, ja już tyle dziś myślałam, przecież o Sobieskim to ja wymyśliłam.

— Et — rzekł lekceważąco Tomek — wymyśliłaś, ale czy przyjdzie Sobieski?

— Przyjdzie, przyjdzie, zobaczysz! — rzekła Bronia z wielką pewnością.

— No, jeżeli przyjdzie i Turków zbije, toby może i tatusia...

Bronka nie dała bratu dokończyć, krzyknęła radośnie i pociągnęła go do kąta. Tam coś długo, bardzo długo radzili...

Upłynęło znów kilka dni. Coraz większa trwoga ogarniała mieszkańców Wiednia. Tomek i Bronia często chodzili z ojcem na wały patrzeć na niezliczone masy Turków. Pan Gocławski opowiadał dzieciom o walkach z Kozakami, z Tatarami, Szwedami, Turkami. Najczęściej jednak powtarzano imię Sobieskiego.

Dziwnym jakimś trafem imię to było na ustach wszystkich mieszkańców Wiednia. Jakieś dobre wieści przedostawały się do obleżonego grodu. Mówiono, że cesarz Leopold słał posłów do króla polskiego, że posłowie na kolanach błagali go o pomoc dla Wiednia i całego państwa

austrjackiego, że sam nawet papież wysłał swego legata, a ten prosił Sobieskiego, by ratował chrześcijaństwo... Nadzieja zaczęła się budzić w zwątpiałych sercach.

— Brońmy się — powtarzali mieszkańcy. — Sobieski nas wybawi.

I zanosili korne modły, żeby król zgodził się przyjść im na pomoc.

— Nie przyjdzie! — mówili wątpiący. — Myśmy przecie dlań obcy zupełnie. Ktoby tam wrogów swoich w biedzie ratował.

— Aleśmy chrześcijanie. Przyjdzie! Nikt innyby nie przyszedł, lecz Sobieski przyjdzie!

— To niezwykły król, to bohater! — mówili drudzy.

— Polacy zawsze tacy! — poświadczali inni. — Polak szkodę poniesie, a pójdzie na pierwsze wezwanie nieść pomoc w potrzebie.

Najbardziej jednak oczekiwali króla Tomek i Bronia. Codziennie rankiem dzieci szły na wały i pilnie patrzyły, czy czasem tam, z północy, nie nadciąga z odsieczą oczekiwany, upragniony Sobieski.

Lecz napróżno! Przeminał sierpień, nastały pierwsze dni września, a króla Jana i wojsk jego wciąż nie było. Głód zaczął się już dawać we znaki biedniejszym mieszkańcom. Coraz groźniej szumiało morze tureckie u murów Wiednia.

Nadszedł dzień 12 września. Bronia, jakby tknięta jakimś przecuciem, rankiem o świcie wybiegła z Tomkiem na wały. Pan Goćławski podążył za nimi niespokojny jakiś i zmartwiony. Słońce krwawo wschodziło, ruch zaczynał się

w obozie tureckim. Wtem jakiś niepokój zapano-
wał wśród oblegających. Przeraźliwie zagrały trąb-
ki, piszczałki, podawano sygnały trwogi. Turcy
stawali w szyku wojennym.

— Coby to mogło być, tatusiu?

— Odsiecz nam chyba nadciąga — rzekł je-
den z mieszczan.

Od strony Kahlenbergu zbliżało się liczne
wojsko. Turcy przyjęli nieustraszoną postawę.

— Patrzcie, patrzcie! nic się nie boi ten prze-
kłąty muzułmanin.

— Nikt go nie zwycięży! — zawołał z roz-
paczą siwy żołnierz. — Tam garstka zaledwie
przybywa, a Turków jest dwieście tysięcy.

Obce wojsko zbliżało się coraz bardziej.

— Ktoby to mógł być? — pytali zaniepoko-
jeni i zaciekawieni mieszkańcy.

Naraz we wschodzącem słońcu błysnęły roz-
wiane chorągwie amarantowe z białym orłem
i orle skrzydła husarji polskiej.

— Sobieski! — zawołała Bronia.

— Sobieski! Polacy! — rozległo się na wa-
łach.

— Sobieski! Polacy! — krzyczano radośnie
w całym Wiedniu.

Ludzie, płacząc, rzucali się sobie w objęcia.

— Skończą się dni głodu, męki, rozpacz.

— Sobieski idzie z Polakami!

Całe miasto wyległo na wały, by patrzeć na
spodziewany pogrom Turków. Wszyscy byli pew-
ni, że Muzułmanie, słysząc to straszliwe dla nich
słowo: »Sobieski«, zatrwożą się.

Zagrzmiały armaty, rozpoczęła się straszli-

wa walka. Turcy stawili się mężnie i bili zażarcie, lecz wkońcu Sobieski ze swoim wojskiem rozbił siłę turecką, a jazda polska, słynni husarze dokonali zupełnego rozgromu. Turcy, widząc



Cały Wiedeń wyłegł na ulice, by powitać swego wybawcę.

wszędzie przegraną, rzucali oręż i uciekali w prze-
rażeniu z pola walki. Cały obóz turecki z namio-
tami, z zapasami broni i żywności, z zieloną cho-
ragwią Proroka, wszystkie ich klejnoty i bogac-
twa dostały się w ręce króla polskiego. Zwycię-
stwo było zupełne!

W mieście ludzie szaleli prawie z radości. Otwarto bramy. Cały Wiedeń wyległ na ulice, by powitać swego wybawcę. Sobieski wjechał, okryty wspaniałym płaszczem, otoczony świetnym rycerstwem. Piękna twarz jego promieniała radością, duże oczy wesoło patrzyły na te tłumy, które zasłonił piersią i krwią swoją od śmierci i od gorszej niż śmierć — niewoli. Uśmiechał się, pokręcał wąsa i pełnym wdzięku ukłonem odpowiadał na okrzyki ludu.

A witano go serdecznie ze czcią, wdzięcznością i uwielbieniem.

— Niech żyje nasz bohater! Niech żyje nasz wybawca! Wiwat! — wołano zewsząd.

— Jak on prześlicznie wygląda, jaki to piękny mężczyzna, a jakie ma ładne wąsy! — dziwiły się Wiedenki.

A król Jan uśmiechał się swym serdecznym uśmiechem i pokręcał wąsa.

Najpierw Sobieski udał się do kościoła. Śpiewano uroczyście: »Ciebie, Boże, chwalimy!« — to król dziękował Bogu za odniesione zwycięstwo.

I państwo Gocławscy wcisnęli się za innymi do kościoła i dotarli do samego ołtarza. Chcieli zobaczyć swego króla.

Bronia i Tomek przyglądali się Sobieskiemu z ogromnem zaciekawieniem. Król Jan klęczał, modląc się gorąco. U boku jego wisiała obnażona szabla bez pochwy. Szablę tę wraz ze złotą wysadzaną drogiemi kamieniami pochwą podali mu oo. paulini, gdy, idąc na wyprawę wiedeńską, wstąpił na Jasną Górę po błogosławieństwo. Lecz

Sobieski zdjął drogocenną pochwę, oddał ją przeorowi i rzekł:

— Złoto niech idzie dla Marji, mnie goła szabla wystarczy ¹⁾).

Gdy król wyszedł z kościoła, państwo Gocławscy wracali do domu szczęśliwi i dumni. Na drodze spotkali jakiegoś rycerza polskiego. Ten, ujrzawszy polskie ubrania i usłyszawszy polską mowę, przystąpił do nich z radością, by powitać rodaków, lecz gdy poznał Gocławskiego, cofnął rękę.

— Banita! — rzekł i odwrócił się od nich.

Tomek krzyknął z oburzenia, Bronia poblaźła z bólu, pani Gocławska śpiesznie otarła łzy, co się jej zaperliły w oczach.

— Nic to — rzekła spokojnie — wola Boża. Lepiej niechęć ludzi znosić, a serce mieć czyste, niż być czczonym i kochanym, a winę w duszy tać.

Trudno nawet opisać, co się działo z panem Gocławskim; już tam na wałach serce mu się rwało, że nie jest wśród swoich, a teraz... ta wzgarda... to upokorzenie! Rzucił się na twarde łoże i zapłakał.

A dzieci jego tymczasem, dowiedziawszy się, gdzie król Sobieski zamieszkał, poszły tam z zamiarem proszenia króla, żeby z ich tatusia zdjął niesławę.

Wskazano im ratusz. Właśnie w wielkiej sali już znajdował się król Jan w otoczeniu rycerzy, biskupów, posłów cudzoziemskich i wielu znako-

¹⁾ Dotąd w skarbcu Jasnogórskim jest ta pochwa i kilka buńczuków tureckich, zdobytych pod Wiedniem.

mitych obywateli Wiednia, co mu przyszli dziękować za pomoc.

Nagle oczy wszystkich zwróciły się w jedną stronę: we drzwiach wchodowych stała jasnowłosa dziewczynka w karmazynowym kontusiku, a z nią młody chłopiec, smutnie patrzący. Dzieci stały onieśmiałe. Zapanowało milczenie, wszyscy z ciekawością czekali, co dalej będzie. Król spostrzegł je również, skinął na nie przyjaźnie i z uśmiechem. Dzieci przystąpiły.

— Co wy za jedne jesteście i skądęście się tu wzięły, miłe dzieciaki? — spytał ich serdecznym głosem.

Tomek nie mógł ani słowa wymówić, a Bronia, wesoła zwykle, rozplakała się.

Król pocałował chłopca w czoło, Bronię wziął za rękę.

— Mości kawalerze, proszę, stań tu przy mnie, a ty, dziewczeczko, powiedz, czego chcesz, powiedz wszystko szczerze.

Jego serdeczne, ojcowskie słowa uspokoiły zmieszane dzieci. Zapomniały zupełnie, że tylu obcych ludzi jest w sali, że są tu panowie, biskupi, rycerze; zapomniały, że mówią do króla, do bohatera, którego świat cały podziwia. Patrząc w jego dobre, wesołe oczy, zaczęły opowiadać smutną historję swego ojca banity.

— Jak się nazywa wasz ojciec?

— Jacek Gocławski.

— Toż to mój żołnierz! pod Chocimiem był ze mną!

— A jakże, był! — zawołała Bronia — i te szance, co to Turcy za Chodkiewicza nie mogli

zdobyć, nasz kochany Sobieski zdobył i nasz ojciec także.

— Kto zdobył? — spytał król, uśmiechając się pod wąsem.

— Kto? no przecie, że sławny król Sobieski! — rzekła dziewczynka w uniesieniu.

Nagle spostrzegła, że przecie ona właśnie do tego króla Sobieskiego mówi; twarz jej zapłonęła szkarłatem i zawstydzona zakryła sobie oczy wyłotem od kontusika.

A król powstał z miejsca i rzekł donośnym głosem:

— Mości panowie! sądzę, że niema między nami więcej godnego męża nad imć pana Jacka Gocławskiego. Tuszę, że niewinnie był posądzony i niesprawiedliwie skazany na banicję.

— Wiwat Jacek Gocławski! — zawołali otaczający króla Polacy.

— Wiwat drogi, kochany król Jan III! — krzyknął Tomek drżącym głosem.

— Wiwat! — powtórzyli biskupi, panowie, rycerze i znakomici goście. — Wiwat!



Powiadka z czasów przedostatniego bezkrólewia w 1733 r.

Po śmierci Sobieskiego obrano królem elektora saskiego, *Augusta II* (1697—1733). Panowanie jego było nadzwyczaj zgubne dla Polski: miał on zawsze na widoku osobiste korzyści, a nie dobro kraju.

Wraz z cesarzem rosyjskim, Piotrem, i królem duńskim August II zaczął wojnę ze Szwecją. Król szwedzki Karol XII zwyciężył Duńczyków, cesarza Piotra i króla Augusta i wkroczył do Polski; August uciekł z Warszawy.

Wtenczas obrano królem wojewodę poznańskiego, *Stanisława Leszczyńskiego*. Tymczasem cesarz Piotr pokonał Szwedów pod Połtawą i pomógł Augustowi II

do osiągnięcia tronu. To utorowało drogę wpływowi Rosji na rządy Rzeczypospolitej.

Po śmierci Augusta II-go obrano znowu królem Leszczyńskiego, lecz przy pomocy cesarzowej rosyjskiej, Anny, tron zajął *August III* (1733—1763), syn Augusta II.

August III oddał Rosji Kurlandję. Stanisław Leszczyński musiał uciekać przed wojskami rosyjskimi i saskimi do Francji. Tam jego córka, Marja, została żoną króla francuskiego Ludwika XV. Leszczyński dostał w dożywocie francuską prowincję — Lotaryngję. Był to król zacny, lecz nieszczęśliwy.

Na wschód od Odry, tuż nad polską granicą stała niemiecka gospoda Fryca Millera. Często dała się tu słyszeć mowa polska, gdyż szlachta nieraz przejeżdżała granicę, aby się napić wybornego wina u Fryca.

Niemiec chętnie witał takich gości, wiedział bowiem z doświadczenia, że Polacy piją zdrowo i płacą rzetelnie. To też trzymał pachółka Polaka, który panom szlachcicom usługiwał.

Był to dwunastoletni chłopiec wzrostu wysokiego, śmiały i roztropny. Nazywał się Franek.

Pewnego ranka w pierwszych dniach września 1733 roku przed gospodę zajechał młody człowiek, dostatnio ubrany w malinowy kontusz i błękitny żupan. Franek wybiegł przed sień. Nieznajomy zgrabnie zeskoczył z konia i rzucił cugle chłopcu.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł Franek po polsku.

— Na wieki wieków. Toś ty Polak?

— A jakże.

— Podajno mi lampkę wina — rzekł szlachcic, wchodzący do izby. — Co tu tak pusto dzisiaj?

— Jakoś nikogo niema — odpowiedział Franek; wybiegł i po chwili wrócił z winem.

— Słuchaj, chłopcze, czy często tu szlachta polska bywa?

— Często, proszę waćpana.

— Czy mówią co o elekcji?

— Mówią... Wszyscy chcą Piasta na króla, nie chcą cudzoziemca.

— A nie wiesz, o kim myślą?

— Rozmaite nazwiska wypowiadają, nawet nie spałem, ale najpewniej wybiorą Stanisława Leszczyńskiego.

Szlachcic uśmiechnął się.

— A jak nie wybiorą? — spytał.

— Ach, proszę waćpana — zawołał chłopiec z ogniem w oku. — Przecież on był już naszym królem, ale Sas go pokonał, i biedny Stanisław musiał uchodzić z kraju.

— Dziwno mi, że ty wiesz o tem — rzekł szlachcic.

— Tatuś mój był żołnierzem pod Sobieskim, na Wiedeń chodził, wszystko więc mi opowiadał: o Sobieskim, o jego śmierci, o tem, jak August II Saski, dzięki niezgodzie panów, został obrany królem polskim. Mówił mi ojciec, że August II sprowadził wiele nieszczęść na kraj, że wojował ze Szwecją, że jak Szwedzi zbili Augusta, to panowie obrali królem Leszczyńskiego. Ale ten Sas przy pomocy rosyjskich wojsk pokonał go i zajął tron polski...

— A skąd się wzięłeś tutaj na służbie
— Gdy tatuś umarł, sam zostałem na świecie. Byłbym zginął z głodu, gdyby mnie Fryc nie przygarnął.

Szlachcic obejrzał się dokoła.

— Zobacz, czy kogo niema w sąsiedniej izbie.

Franek spojrzał nań zdziwiony, uchylił drzwi.

— Nie, niema.

— Zawrzyj drzwi i chodź tu bliżej. Słuchaj, chciałbyś ty przysłużyć się krajowi?

— O, i bardzo chciałbym — odpowiedział chłopiec bez wahania.

— To słuchaj dobrze, co ci powiem.

Tu pan Wojciech Odolanowski nachylił się, szepcząc chłopcu do ucha:

— August II umarł. Panowanie jego było zgubne dla kraju, także byłoby panowanie jego syna.

— A jakże — szepnął chłopak — nie trzeba nam Sasa.

— Jedyną radą, by zapobiec złemu, jest obiór Stanisława Leszczyńskiego. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Otóż wezwaliśmy go do Polski. Mówią, że jedzie pod obcem nazwiskiem, w przebraniu. Gdyby się Niemcy, albo Sasi dowiedzieli, wzięliby go do niewoli.

— Proszę waćpana! — krzyknął Franek — toć tu od kilku dni stoi dziesięciu żołnierzy saskich i pilnuje granicy.

— Otóż słuchaj! Gdyby go pochwycili, daj

mi znać. Zebrałem dużą liczbę szlachty w Niewiarowie. Wiesz, gdzie to jest?

— Wiem, nad samą granicą.

— Tak. Otóż, gdyby Sasi króla schwycili, my go odbijemy. Chciałem sam tu siedzieć, czekać i pilnować, ale wzbudziłbym podejrzenie. Muszę więc wracać do Niewiarowa.

W sąsiedniej izbie dały się słyszeć czyjeś kroki... Franek odskoczył od pana Odolanowskiego, stanął w kącie. Do izby weszło kilku żołnierzy saskich. Zaczęli się badawczo przypatrywać panu Odolanowskiemu; oficer obejrzał jego paszport.

— Jedź waćpan do Polski, tu nie można siedzieć — rzekł do szlachcica.

— Właśnie już wracam — rzekł Odolanowski, rzucił dukata Millerowi i wyszedł z gospody.

We wrotach czekał nań Franek, trzymając konia.

Pan Wojciech wskoczył nań pośpiesznie.

— Gdyby co było, daj mi zaraz znać do Niewiarowa — szepnął Frankowi.

— Dobrze — odpowiedział chłopiec cicho.

Na drugi dzień około południa przed gospodę zajechało dwóch podróżnych. Mieli na sobie skromny ubiór mieszczan niemieckich. Franek zaczął przyglądać się im uważnie. Jeden z nich, w czarnej peruce, słusznej postawy, o dużych, siwych brwiach, miał wiele powagi i dostojności w obejściu.

— Ani chybi, to król Leszczyński — pomyślał chłopiec.

Jakieś przeczucie mówiło mu, że to jest ten król-tułacz.

Podróżni kazali sobie podać wina. Franek podał im napój i kubki.

— Pij — rzekł jeden z nich do drugiego po polsku.

— Ostrożnie — szepnął Franek i wybiegł pośpiesznie z izby.

Łzy zakreśliły mu się w oczach.

— Jakto? — myślał — i to jest ten król, ten wygnaniec, i to jest ten nasz pan dobry, w takim podłemu ubraniu, jak złodziej, przekradający się do swego państwa... Koronę nosił na głowie, a teraz czarną peruką musi okrywać swe siwe włosy... Biedny, kochany król!

Otarł łzy, wrócił do izby. Przy drugim stole siedzieli Sasi, przyglądając się badawczo podróżnym.

— Coście za jedni? — spytał oficer, zbliżając się do nieznanego w czarnej peruce.

— Jestem subjekt kupiecki, Brambach.

— Wasz paszport?

— Oto jest.

Oficer wziął podany sobie paszport i zaczął odczytywać go uważnie. Franek drżał ze strachu.

— Poznają go — myślał, i na samą tę myśl robiło mu się zimno i gorąco.

Lecz oficer złożył paszport, oddał go podróżnemu i wrócił do swego stołu. Franek odetchnął swobodniej.

Nagle za oknami rozległ się tętent, do izby wpadł zadyszany żołnierz i zawołał:

— Poszukujemy Stanisława Leszczyńskiego, tu jest jego opis.

Tu przybyły wyjął z kieszeni urzędowy papier i zaczął czytać:

»Otyły, wzrostu średniego, twarz okrągła, brwi duże, siwe, nos orli«.

— To ten, to on, to on! — zawołał, przerywając czytanie i wskazując na nieznajomego w czarnej peruce.

Żołnierze otoczyli obydwóch podróżnych.

— Przepadliśmy, poznali nas! — szepnął jeden z nich po polsku.

Franek krzyknął. Oficer i żołnierze bacznie spojrzeli na chłopca. Franek odwrócił się, by nie dostrzegli jego bladej twarzy.

— Trzeba ratować króla — pomyślał — muszę natychmiast lecieć do Niewiarowa.

— Przyniosę wam wina — rzekł do żołnierza — to was orzeźwi, jesteście bardzo zmęczeni.

To mówiąc, Franek powoli wyszedł z izby, wybiegł na dziedziniec, wsiadł na konia oficera i popędził w stronę granicy polskiej.

Lecz Sasi dostrzegli jego ucieczkę, i trzech z nich podążyło za chłopcem. Do granicy było niedaleko. Franek jechał jak szalony, aż powietrze świszczało mu w uszach, ale coraz wyraźniej dawał się słyszeć tętent goniących. Serce biło mu ze strachu o los króla.

— Zginę — pomyślał chłopiec. — Niech tam! byle tylko dać znać w Niewiarowie.

Przed nim zaczerniał las — to granica — to polski bór. Żołnierze zbliżali się coraz bardziej.

Nagle Franek poczuł oddech koński przy swej twarzy, a po chwili dwa mocne ramiona ujęły go.

— Chciałeś uciec przed nami, ale mamy cię, ptaszku! — zawołali żołnierze, ściągając Franka z konia. — Teraz możemy odpocząć.



...przybyły wyjął z kieszeni urzędowy papier i zaczął czytać.

Sascy żołdacy związali chłopcu ręce rzemieniem i rozłożyli się na trawie dookoła Franka. Słońce wzniosło się wysoko, żar był nieznośny; żołnierze pozdejmowali ciężkie zbroje, jeden z nich wyciągnął manierkę z wódką. Zaczęli pić

i kłąć Polaków, a po niedługiej chwili wszyscy trzej zasnęli.

— Teraz trzeba uciekać — myślał Franek — ale jak? pieszo — dogonią mnie, konno — nie mogę, bo mam ręce związane. Co tu robić?

Aha, wiem! Głupi Sasi, żeby mi związali nogi, nicbym zrobić nie mógł, a tak...

Franek zaczął się czołgać, zbliżył się do śpiącego żołnierza, związanymi rękami chwycił za nóż, który tenże miał z boku, w pochwie, i wyciągnął go ostrożnie. Śpiący powoli roztworzył oczy i zerwał się na równe nogi przestraszony, lecz widząc, że chłopiec leży spokojnie na ziemi, znów się położył. Franek, przykrywając nóż sobą, czekał, aż żołnierz zaśnie. Minęła długa chwila, nareszcie żołnierz zachrapał.

Chłopiec wtenczas usiadł na ziemi, przycisnął mocno nogę do nogi, włożył nóż między kolana ostrzem do góry i zaczął trzeć o jego ostrze rzemień, który mu ręce krępował.

Płynęła chwila za chwilą, długie, jak całe wieki. Za najmniejszym poruszeniem się śpiących chłopiec przerywał robotę i kładł się, udając znużonego. Wreszcie rzemień się przetarł. Franek cichutko powstał, odwiązał jednego konia, wskoczył nań i w mgnieniu oka popędził w stronę boru. Przerażeni żołnierze usłyszeli tętent i powstałi czym prędzej, jeden z nich wyciągnął króciwą. Lecz Franek przejeżdżał już linię graniczną.

— Wróć się — wołał Sas — bo strzele.

Franek nie odpowiadał, tylko pędził coraz dalej.

— Wróć się, jeśli ci życie miłe!

— Niech tam, wolę umrzeć! — pomyślał Franek, popędzając konia.

Rozległ się strzał. Przerażony rumak stanął dęba, chłopiec zraniony nie mógł się utrzymać, spadł na ziemię.

Podniósł się jednak. Kula trafiła go w rękę powyżej łokcia.

— Boli — szepnął chłopczyzna — bardzo boli...

Z rany krew buchała przerywanym strumieniem. Dzielny chłopiec ukrył się w krzakach. Zebrawszy wszystkie siły, zrzucił kubraczek, zdjął koszulę, okręcił nią zranioną rękę, i chowając się poza drzewa i między krzaki, pobiegł w stronę Niewiarowa.

Kilka razy padał z braku sił, podnosił się, biegł znowu prawie nieprzytomny. Wreszcie ujrzał wdali dwór niewiarowski.

— Chwała Bogu — szepnął blademi usty, z wysiłkiem wlokąc się drogą.

Przed bramą spostrzegł go pan Wojciech, który właśnie wracał z pola i podszedł do słaniającego się chłopca.

— Czy to ty, Franek od Fryca? Ranny jesteś?

— Tak, panie, żołnierze sascy poznali króla w gospodzie i zatrzymali — szepnął chłopiec, osuwając się na ręce Odolanowskiego.

— Gonili cię?

— Gonili i schwycili, ale im uciekłem. Wtedy strzelili za mną i ranili mnie w łokieć.

Pan Odolanowski oddał chłopca w ręce go-

spodyni, nakazując, aby mu zaraz ranę opatrzono, a sam śpiesznie wyszedł.

W parę minut potem tłum szlachty pędził w stronę granicy niemieckiej.

Franek znalazł w Niewiarowie troskliwą opiekę. Opatrzono mu ranę. Lecz tyle krwi upłynęło z chłopca, że życiu jego zagrażało niebezpieczeństwo.

— Biedny mały bohater — szepiała pani Niewiarowska, przesuwając rękę po bladym czole dziecka.

Nad wieczorem chory otworzył oczy, spojrzał przytomnie.

— Cóż — szepnął — król Leszczyński ocalony?

— Uratowany — odpowiedział pan Wojciech, który już powrócił — uratowany, dzięki tobie.

Do łóżka chłopca zbliżył się sam Stanisław Leszczyński w polskim ubraniu, bez peruki na głowie. Szare oczy jego patrzyły z wielką miłością i dobrocią na dziecko, co krwią swoją wybawiło go z rąk nieprzyjacielskich.

— Bóg ci zapłaci, chłopcze — rzekł wzruszony.

— Czyście bezpieczni, najjaśniejszy panie?

— Przeciem między swymi — odparł król-wygnaniec, i zamyślił się smutnie.

W kilka dni potem Stanisław Leszczyński wyruszył do Warszawy. Franek, ciężko chory, został w Niewiarowie. Przez dwa tygodnie zdrowa natura chłopca walczyła z chorobą, ale z rany wdało się niebezpieczne zakażenie krwi, i nie było

już ratunku. Nastąpiła silna gorączka, i życie zaczęło z chłopca uchodzić.

Pewnego wieczoru Franek smutnie patrzył w ogień. W sąsiedniej komnacie rozległy się kroki, i po chwili weszli panowie Niewiarowski i Odolanowski. Wracali z elekcji.

— Jakże tam? — spytała pani Niewiarowska, podnosząc się od łoża chorego.

— Stanisław Leszczyński został jednogłośnie obrany królem.

Chory poruszył się. Odolanowski nachylił się nad nim.

— Opowiedzcie, panie, wszystko — prosił Franek słabym głosem.

— Przybyliśmy do Warszawy szczęśliwie na dwa dni przed elekcją. Król zatrzymał się w poselstwie francuskim na Krakowskim Przedmieściu. Gdy nazajutrz ukazał się między szlachtą w kościele św. Krzyża, radość ogarnęła wszystkich: witano wygnańca owacyjnie, tłum zaczął się cisnąć do świątyni, całować ręce króla.

Franek uśmiechnął się uszczęśliwiony. Odolanowski ciągnął dalej:

— Na elekcji wszyscy jednogłośnie oświadczyli się za Stanisławem Leszczyńskim; całe pole na Woli od końca do końca rozbrzmiewało jednym głosem: — Wiwat król Stanisław! — Wtedy prymas mianował królem polskim najjaśniejszego pana Stanisława Leszczyńskiego. We wszystkich kościołach śpiewano »Te Deum laudamus«.

Franek uniósł się na pościeli, oczy zabłyśły mu zapalem.

— Wiwat król Stanisław! — zawołał i padł bez życia na poduszki.

Umarł z uśmiechem szczęścia... bo nie wiedział, że w tym samym czasie, kiedy sejm na Woli wybierał Stanisława Leszczyńskiego, zebrała się za Wisłą na Pradze garść magnatów i kupa szlachty, przekupionej złotem saskim i moskiewskim — i z pomocą wojsk rosyjskich osadziła na tronie Augusta III.

Umarł spokojnie, bo nie wiedział, że jego ukochany król Stanisław w przebraniu wieśniaczem uchodzić będzie z Gdańska z rąk wrogów...

A szlachta, zamiast ratować upadający kraj, zrywała sejmy, bawiła się i ucztowała, przyśpiewując:

Za króla Sasa
Jedz, pij i popuszczaj pasa.

RADOSNY DZIEŃ



Powiaстка z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Po śmierci Augusta III za wpływem cesarzowej rosyjskiej, Katarzyny, tron objął *Stanisław August Poniatowski* (1764—1795), ostatni król polski, człowiek charakteru słabego, niezdolny powstrzymać upadku Rzeczypospolitej. Wtenczas grono patriotów zawiązało konfederację w Barze (1768). Przeciw nim wysłała cesarzowa Katarzyna silne wojsko, i gdy konfederaci zostali zwyciężeni, za poduszczeniem króla Fryderyka pruskiego zrobiono *pierwszy rozbiór Polski* (1772). Rosja, Austria i Prusy wzięły po kawale naszych ziem.

Uszczuplona Polska usiłuje wzmóc się na siłach, stara się o podniesienie oświaty, literatury i sztuki, a przede wszystkim poprawić pragnie rząd. W tym celu zebrał się Wielki Sejm, który trwał 4 lata (stąd jego nazwa czteroletni). Rezultatem obrad była wiekopomna *Konstytucja 3 maja 1791 r.*, która nadała wol-

ność chłopom i prawa mieszczanom, zniosła liberum veto, ustanowiła tron dziedziczny.

Pod samą Warszawą, za rogatką Mokotowską, stał zamożny dwór szlachecki. Miał wielki ganek na rzeźbionych słupach, opleciony dzikim winem, niewielką wieżyczkę z herbową tarczą właściciela i wspaniałe nadwiślańskie topole przed gankiem.

Życie płynęło tutaj cicho i spokojnie. Pan starosta na sejmie w Warszawie przeważnie przebywał, pani starościna doglądała dzieci i gospodarstwa.

I teraz, korzystając z pogodnego dnia wiosennego, zasiadła na ganku, a jej gromadka bawiła się wesoło, tylko najstarszy syn, usiadłszy na schodkach i oplótłszy rękami kolana, powtarzał monotonna łacińskie pensa¹⁾. Przerwawszy naukę, zwrócił się do matki:

— Ksiądz kapelan mówi, że w jesieni będę mógł iść do szkół.

— Naturalnie, Michasiu, już rok dwunasty ci dobiega, czas zabrać się naprawdę do nauki.

— Taki mnie żal chwytą, matuchno, gdy pomyślę, że trzeba będzie opuścić was, i ten dwór nasz, i sad, i jechać do szkół.

— Mówią, że ojcowie jezuici nie żałują różgi — wtrąciła Terenia.

— Wstydz się, Terenko, nigdy o tem nie myślałem i nigdy nie zasłużyć na karę — odparł z godnością Michaś. — Tylko mi żal, że sam będę w tej wielkiej Warszawie.

¹⁾ Zadana lekcja.

Chłopcu łzy zakręciły się w oczach, a i matka westchnęła na myśl rozłąki i rzekła jakby do siebie:

— Tylko oświata może teraz uratować naszą biedną Polskę.

— A nie! — zawołała żywo Terenia.

— Tereniu! — skarciła ją surowo starościna.

— To czemuż tatuś poszedł na wojnę? — usprawiedliwiała się zaczerwieniona dziewczynka — i taką ranę ma w nodze, aż kuleje... biedny tatuś. Zamiast do konfederatów, trzeba mu było jechać do Warszawy i uczyć się.

Posmutniała starościna, a dzieci, patrząc w jej pobladłą twarz, nie śmiały nawet już pytać: »czemu?«. Po chwili dopiero starościna odpowiedziała:

— Trudno to wam wytłumaczyć, moje dzieci, niewiele rozumiecie w sprawach publicznych.

— Matuchno, już przecież nie jestem dzieckiem, jak Terenia — rzekł Michaś — i rozumiem dobrze, że tatuś jako rycerz powinien walczyć za Polskę, a ja uczyć się dla niej.

— A jaka to była wojna, w której tatuś taką ranę otrzymał? — dopytywała się Terenia.

— To długa historia, moje dzieci. Gdy na tronie polskim zasiadł jeden, a potem drugi Sas, zaczęły się wdzierać do Polski obce zwyczaje, porzuciliśmy cnoty ojców, zamilkła miłość kraju, każdy pił, hulał, a gdy zabrakło pieniędzy, panowie dali się przekupywać.

Gdy August III umarł, nastąpiła nowa elekcja, nowa niezgoda, wicherzenia i przekupstwa.

— Ale wybrali przecież Polaka. Nasz król Stanisław August Poniatowski, to nie żaden Sas, ani Szwed! — zawołał Michaś.

— Tak, moje dziecko, ale to człowiek chwiejny, słabego charakteru, zamiłowany w sztukach pięknych, podatny obcym wpływom. A kraj znajduje się nad przepaścią...

— Namby trzeba teraz drugiego Batorego — wtrącił Michaś.

— Widząc, że Moskale rządzą u nas, że carowa Katarzyna słabego króla uważa za swe narzędzie, garstka patriotów zawiązała konfederację w Barze. Było to przeszło dwadzieścia lat temu¹⁾. Tatuś wasz był wtedy młodzieńcem jeszcze. Bez namysłu przystał do konfederacji, bo wierzył, że walka uratuje Polskę.

— Ach, czemuż wszyscy z nimi się nie złączyli, czemuż nie poszli za przykładem Pułaskiego i księdza Marka? — zawołał Michaś.

— Tak, moje dzieci, konfederaci przerachowali się ze swemi siłami. Za mało ich było. Cóż znaczyła garstka ich wobec wojsk, przysłanych przez cesarzową Katarzynę? Po rozpaczliwej walce zostali zwyciężeni, i wtedy to nastąpił rozbiór Polski: Rosja, Prusy i Austrija wzięły po kawale naszej ziemi.

Zadumała się smutnie.

— Nie frasuj się, matuchno, dużo nam jeszcze ziemi zostało — rzekł Michaś. — Wielka nasza Polska i da sobie radę.

¹⁾ W roku 1768.

— Nie damy się! — butnie zawołała Terenia, potrząsając swą płową czuprynką. — Toż od czterech lat tatuś i inni posłowie siedzą w Warszawie i radzą, a radzą.

— Da Bóg, naprawią oni wszystko złe — rzekła pani staroscina. — Dlatego to, moje dzieci, trzeba się uczyć, aby być światłym i mądre urządzienia w kraju zaprowadzić.

— Matuchno, taki jestem ciekaw, co to jest ta konstytucja, o której tyle mówią i radzą. Tak chciałbym posłuchać, jak to dzisiaj u nas będą radzili.

— A dużo panów posłów przyjedzie do nas? — dopytywała się Terenia.

— Nie wiem, ma to być krótka narada, zbliża się termin uchwalenia konstytucji, to też posłowie nietylko na sejmie, ale i w prywatnych domach zbierają się, by omówić wszystko dokładnie.

— Chciałbym być przy tem — szepnął Michaś.

— Nie można, moje dziecko — odpowiedziała staroscina i wstała, aby poczynić przygotowania do wieczerzy.

Terenia pobiegła pomagać, a takiej dobrej była myśli, że mateczkę rozweseliła.

Nakrywając stół bieluchnym obrusem¹⁾, wciąż rozmawiała wesoło i dopytywała się o konstytucję, aż klucznica, która zносиła wędzone półgęski i smaczne różowe szynki, spytała ciekawie:

¹⁾ Było to w owych czasach jeszcze wielkim zbytkiem. Obrusy zaczęły wchodzić w użycie dopiero za czasów saskich. Pierwotnie nakrywano tylko honorowe miejsca, szary koniec zostawiając bez nakrycia.

— Co to jest, proszę jaśnie pani, ta konstytucja, o której ciągiem panienka Terenia mówi, czy to nowa potrawa jaka?

Terenka wybuchnęła wesołym śmiechem, aż matka zgromiła ją spojrzeniem.

— Nie, moja Balbisiu, jest to nowa ustawa, która ma wrócić porządek w Rzeczypospolitej, nadać chłopom wolność.

Klucznica zdumionemi oczami spojrzała na panią starościnę, z koszyczką, który niosła, wysypały się białe gomółki, a ona wciąż stała, powtarzając:

— Wolność chłopom? nowa ustawa? To i pańszczyzny chyba nie będzie?

— A nie będzie, moja Balbisiu, nie będzie — zawołała Terenia.

Michaś tymczasem błdził zamyślony po sadzie. Białe od kwiecica czereśnie osypywały go delikatnymi płatkami, rozkwitłe jabłonie różowiły się w zachodniem słońcu, ale on nie zauważył tego, wciąż myślał i myślał:

— Ej, żebym to ja wiedział dobrze, w jaki sposób trzeba kraj ratować! żebym choć raz mógł być na sejmie i tak przemówić, aby król i posłowie uchwalili te zbawienne reformy, tę konstytucję. Żebym choć przynajmniej dobrze wiedział, co to jest ta konstytucja?

Wtem jakaś szczęśliwa myśl przyszła mu do głowy! Klasnął w ręce uradowany i pobiegł do domu.

Wieczór się zbliżył, pan starosta wrócił z Warszawy, a tuż za nim konno i w kałama-szkach, i w powozach zajeżdżali liczni goście,

wszyscy poważni, godni, a postrojeni! Pan starosta, stojąc z żoną w ganku, serdecznie witał przybyłych. Terenka i Michaś cichutko stanęli sobie w kątku i przyglądali się ciekawie posłom. Pani starościna poprosiła gości do jadalni. Niedługo trwała wieczerza, i kielichy nie krążyły bezustanku, jak to bywało zwykle na ucztach i zabawach. Służba zdjęła nakrycia, pozbierała półmiski, pani starościna, żegnana głębokimi ukłonami, przeszła do swej komnaty. Posłowie zostali sami. Nie! nie sami, bo za kominkiem w cieniu kotary skrył się mały Michaś.

Z początku serce mu biło niespokojnie, i strach go ogarniał, lecz po chwili zapomniał o tem, że się ukrywa, że go mogą spostrzec, że matka go zgani, a ojciec surowo ukarze, i słuchał uważnie i przyglądał się posłom ciekawie.

Dokoła stołu siedzieli goście: na pierwszym miejscu marszałek sejmu, Stanisław Małachowski, z powagą i dostojeństwem łączący wielki rozum i takt, obok niego dwaj Potoccy, Stanisław i Ignacy, wielcy patrjoci.

Najbardziej zainteresował Michasia paniczek, który swym strojem różnił się od reszty pánów i księży. Miał na sobie frak, bogato haftowany, aksamitne krótkie spodnie, a zamiast pięknych butów kolorowych, pantofelki i pończochy długie do kolan.

— To pewno sfrancuziały Polak, o których mi matenka tyle powiadała... jakże on kuso wygląda! a jaki z tyłu warkocz mu wisi! ¹⁾.

¹⁾ Cudzoziemcy nosili wówczas peruki ze spadającym na plecy *harcapem* (rodzaj warkocza w siatce).

Michaś aż usta sobie zasłonił ręką, taka zebrała go chętka do śmiechu. Paniczek kręcił się niespokojnie na swem siedzeniu, z drwiącym uśmiechem przysłuchiwał się obradom, tłumiał ziewanie co chwila, poprawiał koronkowy żabot.

— Zapewne tylko o stroju myśli — rzekł do siebie Michaś, i całą uwagę zwrócił na księdza, który z wielkim zapałem dowodził o potrzebie reformy i błagał posłów, aby już nie zwlekali dłużej i projekt konstytucji poddali pod głosowanie. Był to Staszic¹⁾. Zdanie jego poparł ksiądz, starszy widocznie wiekiem i godnością, Hugo Kołłątaj.

Michaś miał wielką ochotę ucałować ze czcią ich ręce, gdy wtem paniczek odezwał się niedbale:

— Pocóż się mamy śpieszyć, *ma foi*²⁾, uchwaliliście 100.000 wojska, to możemy teraz sobie powoli obradować, siedzieć w Warszawie, czas też zabawić się nieco, odpocząć...

— Żeby to dawniej było tyle wojska, toby i pierwszego rozbioru nie było — pomyślał sobie Michaś i słuchał uważnie, bo pan marszałek Małachowski zaczął omawiać szczegółowo projekt konstytucji. Potoccy i Kołłątaj pomagali mu, cóż, kiedy elegancik, znudzony, wciąż muskał się i niecierpliwił, a jakiś gruby szlachcic, siedzący przy końcu stołu, hałaśliwie usiłował protestować. Gdy wreszcie zaczęto mówić o uwolnieniu włościan i nadaniu praw mieszczanom, żeby każdy był

¹⁾ Stanisław Staszic (1755—1826), mąż wielkiej cnoty i zasług; pochodził z mieszczan, nie mógł więc być posłem na sejmie, ale pierwszy w swem znakomitem dziele: »Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego« poruszył kwestję reformy.

²⁾ Doprawdy.

wolny i równy, szlachcic huknął ręką w stół i zawołał:

— Veto! nie pozwalam! toć sam Pan Bóg stworzył szlachtę, aby panowała nad innemi stanami! Chłopi pochodzą od Chama, a my od Jafeta! ¹⁾

— A to niezdolny krzykacz! — pomyślał sobie Michaś.

A gdy marszałek zaczął wyliczać nieszczęścia, które elekcja sprowadza, te niezgody, te wi chrzenia, i zaczęto radzić nad tem, aby był tron dziedziczny ²⁾, tak jak w innych państwach, szlachcic zerwał się na równe nogi.

— Jam jest elector regum, detrusor tyrannorum! Ja króla obieram, a strącam tyranów! — krzyczał.

— Elekcja jest przyczyną naszych nieszczęść — odpowiedział marszałek Małachowski.

Ale szlachcic wciąż krzyczał:

— Panowie bracia! niema zgody! niema zgody!

Aż kilka głosów na swoją stronę przyciągnął.

Wreszcie zaczęto mówić o zniesieniu libe-
rum veto.

— Nigdzie tego niema, aby jeden człowiek mógł zrywać sejmy, w ten sposób nigdy nie będzie ani rządu, ani ładu, ani poprawy, bo przecież sejm wszyskiem rządzi! — mówił młody je-

¹⁾ Synowie Noego. Cham był przeklęty od ojca za to, że się z niego wyśmiewał.

²⁾ T. j. przechodził z ojca na syna. U nas szlachta wybierała na króla, kogo chciała.

szcze poseł z ogniem w oku; był to Julian Ursyn Niemcewicz ¹⁾).

Gruby szlachcic aż poczerwieniał z gniewu:

— Toż to gwałt! gdzie nasze przywileje! gdzie nasza wolność szlachecka!

— Nie wolność to, ale swawola — rzekł surowo Ignacy Potocki.

Szlachcic nie słuchał i wciąż wołał:

— Gdzie nasze przywileje szlacheckie? gdzie nasza wolność! Veto! nie pozwalam! Jam jest elector regum, detrusor tyrannorum.

— Veto!

— Niema zgody! — powtarzało za nim kilku innych.

Michaś prawie ze łzami w oczach słuchał krzykacza, wreszcie, oburzony, zapomniał o wszystkim i, porwawszy się na środek pokoju, zawołał z rozpaczliwą determinacją:

— I wróg nasz nie sprzeciwiałby się konstytucji bardziej od waćpana! Ostatni to ratunek dla upadającego kraju, a waćpan ludzi odciągasz od niego!

Gruby szlachcic otworzył usta, ale nie mógł przemówić z wielkiej alteracji, poczerwieniał jak burak, goście, niemniej zdumieni, spoglądali na chłopca... Zapanowało chwilowe milczenie.

Michaś opamiętał się i zmieszał się tak bardzo, aż łzy ukazały się w jego oczach. Rad byłby zapaść się pod podłogę ze wstydu.

¹⁾ Znakomity polski poeta i pisarz, a zarazem wielki patriota. Napisał on znane »Śpiewy historyczne«, był towarzyszem Kościuszki w czasie powstania i więzienia, a potem sekretarzem Księstwa Warszawskiego. Umarł w Paryżu w 1841 roku.

Pan starosta zbliżył się do syna i spytał surowo:

— Asan co tu porabia! Jak śmiesz przerywać obrady starszym?

— Tatusiu... ja tylko chciałem...

— Marsz w tej chwili za drzwi! Później się rozprawimy!

Michaś posłusznie zwrócił się do wyjścia, łykając łzy upokorzenia, cały przejęty strachem na myśl o »rozprawie« z ojcem. Wtem czyjaś ręka delikatnie przytrzymała go za ramię, i pan poseł Niemcewicz zwrócił się z prośbą do zagniewanego starosty:

— Pozwólcie, panie starosto, wytłumaczyć się chłopcu. Może to nie płocha swawola, jeno zacna ciekawość z jego strony. Prawda, kawalerze?

Michaś skinął głową, nie mogąc przemówić ani słowa. Niemcewicz pogłaskał chłopczynę po głowie, a pan starosta rozchmurzył czoło i węża pokreślił udobruchany.

— Widzicie, panie starosto, jakie to zacne chęci u waszego syna, i jak gorąco bierze sobie do serca sprawy publiczne — pochwalił Michaśa dobrotliwy ksiądz Staszic.

A gruby szlachcic podszedł do chłopca i rzekł bez cienia urazy:

— A toś mnie ukrzywdził, mości kawalerze, nie jestem ci ja wrogiem tej naszej Rzeczypospolitej i gotówem przestać oponować, skoro tego jej dobro wymaga. Furda przywileje szlacheckie! niech żyje Rzeczpospolita!

— Niech żyje! — powtórzyli wszyscy z zapalem.

*
* * *

Upłynęło kilka dni. Nastął pamiętny ranek 3 maja 1791. Pani starościna wraz z Michasiem i Terenką pojechała do Warszawy, aby być świadkiem uchwalenia konstytucji.

Miasto przystroiło się na tę uroczystość, ulice były przepełnione publicznością, tłumy całe oblegały gmach sejmowy.

Michaś, któremu ojciec pozwoilił być obecnym na obradach, aż truchlał na myśl, że nie dostaną się do sali sejmowej, a Terenka już krzywiła usteczka i oczy piastką przecierała; szczęściem, pan starosta oczekiwał w pobliżu na dzieci i żonę. Publiczność usuwała się przed nim z uszanowaniem, szepcząc:

— To nasz!

— To zwolennik reformy i konstytucji!

Pan starosta zaprowadził rodzinę na galerję¹⁾, a sam udał się do sali sejmowej.

Na galerji był wielki tłok i gorąco, ale Michaś nie zważał na to, dumny i szczęśliwy bez miary. Przyglądał się posłom zgromadzonym, wszyscy jemu znajomi już tam byli i wielu jeszcze innych. O 11-ej w sali rozległy się serdeczne okrzyki: to wszedł król Stanisław August, otoczony wspaniałym orszakiem dworzan i dygnitarzy. — Jakżeż on pięknie ubrany! — szepnęła Terenka.

¹⁾ Galerja — rodzaj ganku, z którego publiczność mogła się przysłuchiwać obradom.

Król zasiadł na tronie, wnet marszałek rozpoczął posiedzenie; powstał wielki gwar, obrady były burzliwe.

— A to się kłóć, i wszyscy razem krzyczą! — rzekła Terenka, śmiejąc się wesoło.

Michaś zauważył z radością, że zwolenników konstytucji było więcej; przeciwnicy ich mieli niepewne miny, oglądali się na grubego szlachcica, ale ten milczał uparcie.

Obrady ciągnęły się długo, dzieci były zmęczone, Tereni nawet kleiły się oczka, i główka ciężła. Wreszcie król zarządził głosowanie. Wtedy w całej izbie poselskiej i na galerjach rozległ się jednomyślny okrzyk:

— Wszyscy, wszyscy zgadzamy się! Niech żyje konstytucja! Niech żyje król!

Najgłośniej chyba krzyczał nasz Michaś, a i Terenka wtórowała mu swym cienkim głosem.

Skoro tylko posłowie uchwalili konstytucję, wnet podniosły się głosy, aby natychmiast król, senat i sejm wykonał przysięgę konstytucyjną. Ustawa nowa, uchwalona i zaprzysiężona, wchodziła natychmiast w życie.

— Przysiegajmy! przysiegajmy! — wołano.

Wówczas jeden z przeciwników konstytucji, poseł Suchorzewski, przecisnął się do tronu królewskiego i głośno zawołał:

— Do stóp twoich rzucę się, Najjaśniejszy Panie! Po moim trupie przechodźcie do przysięgi! Pókim żyw, nie zezwolę! Veto!

Chwilowe zakłopotanie zapanowało w izbie. Przeciwnicy reformy nabrali otuchy, wołając:

— Niema zgody na konstytucję!

— Veto!

— Nie pozwalamy!

Wówczas Suchorzewski raz jeszcze wystąpił na środek, ciągnąc za rękę małego synka, i zaczął wołać:

— Zabiję siebie i swoje dziecko, by nie dożyło niewoli pod nową konstytucją!

Nic jednak nie pomogły wysiłki opozycji. Zwolennicy reformy byli w większości, i konstytucja była już rzeczą dokonaną. Po trzykrotnem zapytaniu marszałka Małachowskiego, czy sejm przyjmuje konstytucję, na co odpowiedziały gromkie okrzyki: — zgoda! zgoda! — król przystąpił do złożenia przysięgi.

Król wówczas powstał z tronu, biskup podał mu Ewangelię. Cisza zapanowała w sali... Stanisław August, położywszy rękę na świętej księdze, powtarzał za biskupem słowa przysięgi. Potem zwrócił się do posłów i do publiczności i głośno zawołał:

— Wzywam teraz wszystkich kochających ojczyznę! niech idą ze mną do kościoła dla złożenia Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam pozwolił tak uroczystego i zbawiennego dokonać dzieła!

Tłum zakołysał się i rzucił ku drzwiom. U wyjścia z sali otoczono króla, całując z wdzięcznością jego ręce... Michaś z Terenką dopchali się też do niego i objęli za kolana. Stanisław August pogłaskał ich jasne główki, poczem przez korytarze zamkowe udał się do katedry.

Przed zamkiem na ulicy stały gromady lu-



Stanisław August, położywszy rękę na świętej księdze, powtarzał za biskupem słowa przysięgi.

dzi, oczekując ukończenia sesji, to też wieść radosna lotem błyskawicy rozległa się po mieście.

Wychodzących posłów witano gromkimi okrzykami, marszałków sejmowych ¹⁾ na rękach poniesiono do świątyni.

Śród zapału i radości tłumy ludu płynęły do katedry Świętego Jana. Tu stały już bractwa z pałacami się świecami i cechy miejskie z rozwiniętymi chorągwiami... Światła płonęły, serca biły, a łzy radości świeciły we wszystkich oczach...

Król, wzruszony, powtórzył u stóp ołtarza przysięgę, poczem biskup zaintonował głośno hymn dziękczynny:

Te Deum laudamus ²⁾.

Zabrzmiały organy, popłynął śpiew uroczysty, zwycięski, a z zamku działa huknęły na wiat.

Długo jeszcze brzmiały okrzyki.

— Wiwat król!

— Wiwat naród!

— Wiwat wszystkie stany!

A majowe słońce złościło Warszawę tysiącem blasków...

.....

Upłynęło więcej, niż 100 lat od owej chwili, a dotąd konstytucja 3 maja jest chlubą naszego narodu. Zmartwychwstała Polska, uważając odzyskanie swej niepodległości za skutek reform i prac, dokonanych na Sejmie Czteroletnim, uznała dzień 3-go Maja za *święto narodowe*.

¹⁾ Małachowski — marszałek dla Korony, Sapieha — marszałek dla Litwy.

²⁾ »Ciebie, Boga, chwalimy«.

SZEWCKI TERMINATOR

Powiaстка z roku 1794.

Nie wszyscy Polacy byli zadowoleni z konstytucji. Szczęsny Potocki, Ksawery Branicki i Seweryn Rzewuski zawiązali *konfederację w Targowicy*, udając się pod opiekę imperatorowej Katarzyny. Rosja wysłała wtedy silne wojsko. Polacy walczyli pod dowództwem bratanka królewskiego, księcia Józefa Poniatowskiego. Lecz król przystał do Targowiczan. Zniesiono konstytucję 3 maja, nastąpił *II-gi rozbiór Polski* (1793).

Z dawnej Rzeczypospolitej zostało niewielkie państwo. Polacy zerwali się do boju pod wodzą Tadeusza Kościuszki, lecz znowu rosyjskie i pruskie wojska wkroczyły do kraju; Kościuszko pod Maciejowicami dostał się do niewoli. Nastąpił *III-ci rozbiór Polski* (1795). Prusy otrzymały Warszawę, Rosja — Wilno, Austria — Kraków. Polska, jako państwo polityczne, przestała istnieć.

Na Krakowskim Przedmieściu, niedaleko od kościoła Bernardynów, znajdowała się słynna na całą Warszawę winiarnia i miodosytnia imię pana Ignacego. Gromadziła się w niej licznie szlachta i zamożni mieszczanie, urzędnicy i oficerowie, bo imię pan Ignac wina i miodu nie fałszował, a wodą nie chrzcił.

Był właśnie ciepły wieczór kwietniowy, wiśniarnia szczególnie była zatłoczona, bo też sprawy wielkiej wagi zawisły nad Polską, a przy szkelnicy w gronie przyjaciół najłatwiej było dyskutować de publicis ¹⁾.

Zegary miejskie wydzwaniały właśnie 9-tą godzinę, gdy do izby wszedł młody chłopiec. Miał on na sobie połataną spodeńkę i duży niebieski fartuch, jaki noszą szewscy terminatorzy; szczupły był i mizerny, znać nie na zabawach czas mu upływał.

Wszedł śmiało, rozglądał się wkoło, ale widocznie nie znalazł tego, kogo szukał, bo przysiadł w ciemnym kącie i pograżył się w myślach. Po chwili jednak zaczął się niecierpliwić, bo sprawa nie cierpiała zwłoki, a pana majstra Kilińskiego, na którego czekał chłopczyzna, jak nie było, tak nie było.

Wtem rozmowa, którą przy sąsiednim stole prowadziło kilku mieszczan, zwróciła jego uwagę.

Najgłośniejszym dowodził jakiś krawiec, chudy, ale czupurny:

— Tak, tak, mój panie kumie! mieliśmy konstytucję, przyznano nam, zacnym mieszczanom, prawa i przywileje, a teraz co? Dawna niewola, wysługuj się szlachcie!

— Bodajby piekło pochłoneło tych zdrajców Targowiczan! — zaklął basem pan Sierakowski, rzeźnik warszawski. — Nie w smak im poszła konstytucja — chcą dalej wyzyskiwać chłopą, pomiatać mieszczaninem, wicherzyć na elekcji.

¹⁾ O sprawach publicznych.

— I to panowie z zacnych rodów: Branicki, Rzewuski, Szczęsny Potocki... tfu, do licha! — wołał krawiec z oburzeniem.

— Ehe, co tam panowie, kiedy sam król nie lepszy: przysięgał na konstytucję, a teraz sam przystał do Targowiczan — dorzucił trzeci.

— Bo się bał.

— Lala malowana! — mruczał rzeźnik.

— Serce ma złote, rozum wielki — próbował bronić króla jeden z mieszczan.

— Nie brońcie go, kumie! ja jestem sobie prosty krawiec, ale nikomu nie pozwolę grać sobie na nosie, rozumiecie. A on tak tańczy, jak mu zagrają w Petersburgu!

— I myślicie, że to koniec? — ciągnął rzeźnik. — Były już dwa rozbiory, zobaczycie, będzie trzeci; zostanie bez korony ta lala, a my... bez Polski. Będzie trzeci rozbiór — powtórzył ponuro.

— Nie będzie! nie będzie! — zawołał nagle nasz chłopiec, który w zapale porwał się z krzesła i podszedł bliżej do stołu.

— A ty mi co tutaj, smyku, wtrącasz swoje trzy grosze! — zawołał rzeźnik. — Widzicie go!

I byłaby pewno pięść w robocie, gdyby nie nadszedł właśnie majster naszego zucha, imię pan Jan Kiliński. Był to wysoki mężczyzna, o twarzy rozumnej, ozdobionej parą mądrych oczu i zawieszonym sarmackim¹⁾ wąsem.

— Cóż to za hałas? — spytał.

Józek, dojrzawszy swego pana, skoczył ku niemu.

¹⁾ Sarmata — Polak, sarmacki czyli polski.

— Jest posłaniec z Krakowa, od pana generała Kościuszki — szepnął półgłosem.

— O, dla Boga! a to mi nowina — zawołał imię pan Kiliński — i, zwróciwszy się do znajomych sobie majstrów, rzekł po krótkiem przywitaniu:

— Jeśli wam miłe losy naszej ojczyzny, chodźcie ze mną, przyjaciele. Rzecz jest wielka i nie cierpiąca zwłoki.

— Iść, to iść! — zawyrokował krawiec, a imię pan Sierakowski grzmiącym basem wołał gospodarza, aby zapłacić za miód i piwo.

— Ja dziś funduję wszystkim! Niech nam żyje generał Kościuszko!

— Cyt! — szepnął Kiliński — trzeba nam w tajemnicy trzymać, nie brak tutaj zauszników carycy Katarzyny.

— Co mi tam! — huknął Sierakowski, wysuwając groźnie swą potężną pięść — niech powachają tej szyneczki, a odechce im się bigosu!

I śmiejąc się głośno, wychodzili z winiarni, pełni radosnej ochoty.

Józek tymczasem biegł na Powiśle, aby pogadać z panem kosynierem, co to od samego Krakowa jechał i siła ciekawych rzeczy widział. Przed nim szło podochocone grono oficerów ze sztabu posła rosyjskiego, Igelströma, który w imieniu carycy Katarzyny panoszył się w Warszawie i faktycznie przewodził nad chwiejnym królem polskim. Oficerowie rozmawiali głośno, widocznie wzburzeni nowinami, imię Kościuszki często było słyszeć. Józek nastawił uszu ciekawie.

— Ten Kostiuszko zada nam piercu! (pie-

przu) — wołał jakiś podпиты oficer. — Już idzie na Warszawę!

— Igelström słał kurjerów do carycy i pruskiego króla, będziemy mieli pomoc! — odpowiedział drugi.

— A taki Kostiuszko zada i im piercu! — odpowiedział pierwszy z uporem pijanego.

— Pomoc daleko! ale mamy lepszy plan — mówił trzeci. — W nocy na Wielką Sobotę, gdy Polaczki pójdą na rezurekcję, obstawimy armatami ulicę i zabierzemy arsenał z bronią. Wojska mają niewiele, damy im radę!

Któryś ostrożniejszy uciszył towarzyszy, rozejrzał się dokoła, czy nikt nie słyszał, ale dojrzał tylko szewckiego terminatora w niebieskim fartuchu, co, gapiąc się na wróble, szedł ulicą.

Ani przez myśl nikomu nie przeszło, że ten mały i biedny chłopczyna słyszał wszystko i pokrzyżuje zdradzieckie zamiary wszyskomożnego pana pośła.

Tymczasem wszyscy wtajemniczeni już się byli zgromadzili, aby wysłuchać relacji wysłańca generała Madalińskiego z Krakowa. Obok kapot mieszczańskich, widać było tu i kontusze szlachty, i wspaniałe mundury oficerów, i czarne sutanny duchownych. Księża, urzędnicy, oficerowie, szewcy, krawcy i rzeźnicy — wszyscy pospołu już zdawna naradzali się tajemnie, jak ratować ojczyznę.

Teraz wieść radosna o wybuchu powstania w Krakowie, o wielkiem zwycięstwie pod Racławicami, wprawiła wszystkich w uniesienie bez granic. Podczas, gdy generał Mokronowski, ko-

misarz Wybicki i Jan Kiliński radzili zcicha, odczytując papiery, przywiezione przez posłańca, reszta cisnęła się do kosyniera, pytając beładnie o szczegóły.

Wreszcie zabrał głos generał Mokronowski:

— Wiadomo panom, że Kraków pierwszy ruszył się na obronę naszej uciemiężonej ojczyzny. Naczelnikiem insurekcji ¹⁾ wybrano generała Tadeusza Kościuszkę. Imię Kościuszki znane jest nie tylko u nas, ale w całym świecie! On to walczył przeciw Targowiczanom, krwią swoją broniąc Ustaw Konstytucji 3 maja, on to wsławił oręż polski w Ameryce, bijąc się za wolność amerykańskiego narodu. Lepszego wodza nie mogliśmy wybrać. Jest to człowiek o wielkim rozumie, złotem sercu i nieustraszonej odwadze.

— Niech żyje Naczelnik! — zawołały wszystkie głosy.

— Przysięgamy mu posłuszeństwo!

— Niech żyje nasz wódz! Z nim zwyciężyć!

— Niech żyje Polska!

Gdy się uspokoiło, zabrał głos pan komisarz Wybicki, donosząc zebrany, że 24 marca Kościuszkę złożył uroczyste ślubowanie Narodowi i objął rządy. Późem w kilka dni nastąpiło sławne zwycięstwo pod Racławicami.

A że wszyscy chcieli usłyszeć o tem dokładnie, więc wystąpił na środek kosynier, przysłany z Krakowa. Był to prosty chłop z pod Krakowa — w różowych portkach, nabijanym pasie, białej sukmanie i czerwonej czapce z pawiem pió-

¹⁾ Powstania.

rem — ale z twarzy jego biła taka szczerłość, z jego postawy taka siła, a ze słów taki zapal, że wszyscy słuchali opowiadania z zapartym oddechem.

Krakus opowiadał z fantazją:

— Jak tylko przyjechał naczelnik do Krakowa, zaros ludu zebroło się coniemiarą. Na rynku krakowskim stanęło wojsko i panowie, i mieszczanie, i chłopci, a naczelnik przysiągł uroczyście na niewinną Mękę Chrystusową, że nie popuści szabli z garści, póki cała Polska nie będzie wolna ¹⁾).

Jezus mój! co się nie działo wtedy! ludzie płakali, jak dzieci. Naczelnik wezwał wszystkich pod broń — i panów, i księży, i rzemieślników, i chłopów, obiecując przywrócić wszystkim wolność i konstytucję.

We dwa dni zebrało się naszych dwa tysiące chłopca — samych krakusów, górali też przyszło chmara. Nie umielim robić żadną bronią, jeno te kosy nastawiliśmy na sztorc!

Naczelnik poprowadził nas na wroga... stanęliśmy pod Raclawicami ¹⁾).

Był piękny dzień kwietniowy, oba wojska stały se naprzeciw od samego rana, aż dopiero po południu huknęły harmaty. My, kosynierzy, staliśmy se na uboczu. Harmaty wałą, bitwa wre wielka, a my nic, ino stoimy i czekamy. Naszych coraz więcej ginie od owych strasznych harmat moskiewskich, a nie mogą zmóc wroga.

Wtedy staje przed nami Naczelnik i woła:

¹⁾ Przysięga ta odbyła się 24 marca 1794 r. Na tem miejscu jest płyta kamienna z odpowiednim napisem.

²⁾ Bitwa pod Raclawicami odbyła się 4 kwietnia 1794 r.

— Chłopczy! zabrać mi te harmaty!

— Bóg i Ojczyzna!

— Naprzód wiara!

A harmat było dwadzieścia, a u nas ino te kosy w rękach. Splunął se każdy, krzepko ujął kosę i, jak burza, lecim na ziejące ogniem smoki.

Wojtek Bartos ¹⁾ wpada pierwszy, swą czerwoną czapkę zatkał jedną paszczę, a my z kosami na żołnierzy.

Hej! Miły Boże! zdobyliśwa harmaty! Nasi zwyciężyli.

Naczelnik dziękował nam piknie. Kazał uderzyć w bębny i trąby, w obliczu wojska całego zdjął z siebie mundur jeneralski i przywdział chłopską sukmanę — ot takusieńką, jak ta moja!

Tu łyzy i wzruszenie odebrały głos dzielnemu krakusowi.

Zapanowało głębokie milczenie, jakaś rzewność ogarnęła wszystkich, łyzy zabłyśły w oczach.

— Panowie bracia! — zawołał gromko dorodny ułan ²⁾, czas i nam ruszyć się na obronę ojczyzny?

— Czas! czas!

— Wszystko już prawie przygotowane — rzekł pan komisarz Wybicki.

— Cechy też gotowe — przyświadczył Kiłński.

— Sądzę, że najlepiej będzie zaraz po Wielkijnocy ogłosić insurekcję — ozwał się pan generał Mokronowski.

¹⁾ Po bitwie Kościuszko za ten czyn bohaterski przypisał mu do sukmany szlify oficerskie i nadał mu szlachectwo z nazwiskiem Głowacki.

²⁾ Wojciechowski.

— Po Wielkiejnocy! po Wielkiejnocy! — zgodzili się wszyscy ze zdaniem generała.

Wtem z kącika wysunął się Józek w swych połatanych spodenkach i granatowym fartuchu, wybiegł przed generała i krzyknął co sił:

— Po Wielkiejnocy za późno będzie!

— Cicho mi będziesz, hultaju! — krzyknął na niego Kiliński. — Co tu robisz? Ruszaj do warsztatu!

Ale Józek nie ruszał się, błagalnie patrząc na zebranych.

— Posłuchajcie mnie, imościowie! — prosił.

— Ogłupiał chłopak, czy co? — zawołał gniewnie Kiliński i chciał wyrzucić chłopca, ale ten uczeplił się czyjegoś ramienia i wołał co sił:

— A dyć posłuchajcie, na Boga!

Komisarz Wybicki, który miał już czas poznać rezolucję tego szewckiego terminatora, zatrzymał rozgniewanego pana majstra i odezwał się do chłopca:

— No, mów, co masz do powiedzenia.

— Jakem szedł dzisiaj rano, podsłuchiłem rozmowę rosyjskich oficerów: mówią, że generał Igelström chce w Wielką Sobotę, gdy lud będzie w kościele, zabrać arsenał.

Wiadomość ta wzburzyła zebranych. Plan był mądrze pomyślany, Polacy wojska mieli niewiele, arsenał był źle strzeżony — w parę godzin Warszawa byłaby w rękach Igelströma. Postanowiono tedy uprzedzić Rosjan — i generał Mokronowski oznaczył początek insurekcji na Wielki Czwartek.

— Ocaliłeś Warszawę, mój zuchu — rzekł Wybicki do Józka.

Nastąpiła pamiętna noc z Wielkiej Środy na Wielki Czwartek ¹⁾).

Józek oka zmrużyć nie mógł, a gdy o 3-ej nad ranem rozległ się strzał armatni, wybiegł na ulicę za swym dzielnym majstrem, wołając gromko:

— Do arsenału! do arsenału!

Zaalarmowana ludność falą płynęła do arsenału, tam jej rozdawano broń, proch i kule. Na czele uzbrojonego ludu stanęli Stanisław Mokronowski i Jan Kiliński i powiedli go na wroga. Na ulicach Warszawy zawrzała krwawa walka.

Józek odgrywał rolę adjutanta przy swym majstrze. Szybko, jak ptak, biegał z rozkazami, przedzierał się przez ulice zalane krwią, znosił wiadomości, nie bacząc na niebezpieczeństwo, na strzały, na stosy trupów.

W Wielką Sobotę skończyła się bitwa, Igelström wyjechał, Warszawa była wolna. Król Stanisław August chętnie połączył się z ludem i napisał serdeczny list do Kościuszki, poddając miasto jego rozkazom.

Nazajutrz dzwony rezurekcyjne, hucząc radośnie, wieściły miastu i krajowi zmartwychwstanie. A mały szewcki terminator płakał ze szczęścia, boć on wiele przyczynił się do tego święta.

II.

Zaraz po świętach Wielkiejnocy zabrano się do pracy obronnej: zaczęto formować wojsko, sy-

¹⁾ 17 kwietnia 1794 r.

pać szańce i okopy. Jan Kiliński, mianowany za dzielność i zasługi pułkownikiem, werbował mieszczan do swego pułku. Pułk ten, złożony z 800 ludzi, nazwał »pułkiem Dzieci Warszawskich«.

— Ee, majster ma swój pułk, to i ja muszę sobie pułk sformować — pomyślał Józek i zakrzął na siebie żwawo koło »werbowania«. A ochotników mu nie brakło: zgłosili się i koledzy Józka — terminatorzy różni, i mularskie chłopaki, i piaskarze, i słynni andrusi warszawscy. W »pułku« tym panowała wzorowa karność; jeżeli który przekroczył rozkaz Józka, rozciągano go na ziemi, i brał takie »lanie«, że wszelka chęćka do nieposłuszeństwa zniknęła na zawsze.

Codzień rano nad Wisłą zbierali się chłopcy, i Józek uczył ich »musztry«, jak umiał. Naturalnie, że z umundurowaniem nie robili sobie najmniejszego kłopotu; czerwona tasiemka na rękawie była ich oznaką. Biedne to było, obdarte i bose, ale wszyscy chętnie daliby się porąbać za ojczyznę i za Warszawę.

Siostra jednego z chłopców uszyła im czerwoną chorągiew z białym orłem. Chorągiew tę z dumą nosił Franek od kowala na czele oddziału. Gorzej było z uzbrojeniem, ale i tu przemyślni chłopcy poradzili sobie jakoś. Pułkownik Kiliński podarował »smykom« parę zardzewiałych i połamanych szabel, które chłopcy od ślusarza pięknie wyostrzyli; terminatorzy kowalscy przyrządzili sobie piki, zakończone ostrem żelazem; chłopcy od rzeźników mieli noże wielkie; tęgi kij w ostateczności stanowił też »broń« niehylejaką, a każdy

przytem miał wyborną procę i kamyczki, któremi bardzo celnie strzelali.

Pewnego ranka Józek z wielce uroczystą miną stanął przed swym »pułkiem«, wyciągnął z kieszeni świstek ogłoszenia, zdartego z muru, i z trudnością przesyłabizował:

»Prezydent miasta wzywa: starców i młodzież, matki i dzieci, panów i sługi, klasztory i zgromadzenia, i to wszystko, cokolwiek od Opatrzności ma siły i zdrowie, do stawienia się przy okopach«.

— Cóż, koledzy, pójdziemy?

— Pójdziemy — chórem zawołali chłopcy. — Na okopy! na okopy!

— A więc ruszajcie! niech każdy wydostanie, co może: łopatę, rydel, kosz, taczkę lub co innego. Za godzinę zebrać mi się przy rogatce mokołowskiej. Marsz!

I w godzinę później Józek wiódł swoich »smyków« na okopy. Chłopcy szli, śpiewając raznie:

Pókiż, Polaku, zgnuśniały,
Rozłączony z bracią twemi,
Bez sił, bez rządu bez chwały
Będiesz więźniem w własnej ziemi?

A na okopach w jednym szeregu stali szlachta i mieszczenie, starcy i dzieci, przekupki warszawskie i wytworne damy, ubrane w suknie z szarego płótna i czarne fartuszki.

»Smyki« z Józkiem na czele dzielnie rzucili się do roboty — sypali szańce, kopali rowy, znosili kamienie, wozili ziemię.

W pierwszych dniach lipca wszedł nareszcie

w mury miasta gorąco oczekiwany wódz i Naczelnik, Tadeusz Kościuszko, ze swoją armją. Lud witał go radośnie. Naczelnik, pochwalił przygotowania, obejrzał mury i szanse, powyznaczał kwatery i stanowisko wojsku. Ale największą może uciechę sprawił mu pułk Józkowych »smyków«. Ujrzawszy tych biednych, małych chłopców w podartych spodenkach, połatanych koszulinach, ale z zapalem w oku, sprawionych w równy szyk, Kościuszko nie mógł ukryć rozrzewnienia.

— Jakże tu nie zwyciężać, skoro nawet dzieci idą bronić swej ziemi! — zawołał radośnie.

»Smyki« po raz pierwszy wtedy wykroczyli przeciw karności — każdy z nich bez komendy opuścił swoje miejsce i cisnął się do Naczelnika, aby ucałować kraj jego sukmany chłopskiej. Ale to wykroczenie uszło im bezkarnie, bo Józek o świecie Bożym nie wiedział, zapatrzony w Kościuszkę, a wielkiemu wodzowi śmiały się oczy radością, i ręce wyciągały się serdecznie do tej fali pacholących główek, co się do niego cisnęła...

Trzynastego lipca nieprzyjacielskie wojsko otoczyło Warszawę. Z Rosjanami złączył się król pruski, Fryderyk Wilhelm II, który z liczną armją i armatami stanął pod Warszawą.

Józek ze swemi smykami pierwszy był na wałach.

— Jezu! a to jak mrowia tego! — zawołał.

— Czterdzieści jeden tysięcy i 250 armat — rzekł smutnie Kiliński, który tutaj stał na pozycji.

— Ee, damy im w skórę, będą zmykali jak niepyszni.

— Masz rację, zuchu! — rzekł Kościuszko, który właśnie wtedy objeżdżał pozycję, i poklepał Józka po ramieniu.

Nazajutrz lunął na Warszawę ognisty deszcz kul, bomb i kartaczy. Nieustające szturmy trwały przez siedem tygodni, ale ludność Warszawy dzielnie pomagała wojsku, i każdy szturm był odparty, każda wyrwa w szancach momentalnie naprawiona.

Nieraz niewidzialnie prawie, w niespodziewanem miejscu wyrastał szaneczek i celnymi strzałami prał nieprzyjaciół. Kościuszko jeszcze z amerykańskiej wojny miał wielką sławę z budowania fortów i urządzania z »wilczych dołów« istnych pułapek na nieprzyjaciela, który tysiącami poległych opłacał swe ataki. Józek ze swemi smykami zręcznie w ziemnych robotach pomagali Naczelnikowi. Nikt prędzej od nich nie potrafił wykopać rowu lub dołu, usypać wału, naznosić kamieni i darniny. Jak krety, niepostrzeżenie ryli się w ziemi.

Wreszcie nieprzyjaciel, rozdrażniony niepowodzeniem, na 28 sierpnia zarządził atak powszechny.

Noc była cicha i jasna, wojsko polskie, znużone pracą i upałem, spało, nawet straże ziewały. Józek siedział na wałach z owym młodym kosynierem, który przed Wielkanocą przyniósł pierwszą wiadomość o racławickiej bitwie. Zaczynało świtać. Wtem czujne ucho chłopca dosłyszało jakiś szmer w obozie nieprzyjaciół.

— Popatrzcie ino, Wojtku, ruszają się ju chy czegoś.

Krakus długo patrzył i słuchał uważnie.

— Ani chybi — mruknął.

— Nie mogą to spać... Pewno szykują nam jaką niespodziankę.

— A nasi śpią spokojnie.

— Możeby dać znać Naczelnikowi?

Obaj pośpiesznie udali się do namiotu Kościuszki, który stał opodal ¹⁾). Na warcie u wejścia stał siwy krakus z kosą w ręku.

— Śpi, zasnął se ździebko, nie budźcie go po próżnicy, parę nocy nie spało niebożę — rzekł z wielką czułością.

— Ale tam może szturm gotują — rzekł Józef — i stali obaj niepewni, nie wiedząc, co czynić.

Wtem Naczelnik, czujny na każdy szmer, wyszedł z namiotu.

— O co idzie? czego chcesz, zuchu? — spytał.

Dowiedziawszy się, w czem rzecz, natychmiast z lunetą ruszył na wały.

— Będzie szturm — rzekł po chwili, wpatrzywszy się uważnie w nieprzyjacielski obóz.

I porozysłał swych adjutantów z rozkazami do generała Zajączka na Wolę i księcia Józefa Poniatowskiego, który stał pod Marymontem. Jeszcze słońce nie wzeszło, a już wojsko polskie stanęło wpogotowiu, ale na rozkaz Kościuszki stanęło tak cicho, że zdawało się nieprzyjacielowi, iż Polacy śpią w najlepsze.

O czwartej rano cicho wojska nieprzyjacielskie ruszały pod mury. Szły pewnie, nie spodzie-

¹⁾ Kościuszko, choć miał do rozporządzenia pałac Lubomirskich, obozował w małym namiocie mokotowskim. Przez cały czas oblężenia ani razu się nie rozebrał.

wając się, jakie powitanie szykowała im Warszawa. Gdy się zbliżyli na odległość strzału, naraz ryknęły armaty polskie. Stalowy pierścień dokoła Warszawy rozprysł się. Prędko jednak sprawili szyki i znowu ruszyli pod mury. Tu ich przywitał grad kul i kamieni.

Coraz zajadlej Fersen ¹⁾ bombardował Warszawę, coraz to nowe wojska słał król pruski. Śród ryku armat, świstu strzał nie słyhać było słów komendy, żołnierz nie miał czasu odetchnąć ani spojrzeć... Wreszcie o dziewiątej wieczór szturm został odparty ostatecznie z wielkimi stratami dla nieprzyjaciół.

Warszawa odetchnęła. Strudzeni siedemnastogodzinną walką żołnierze ocierali pot z czoła. Na wałach zjawily się niewiasty, niosąc napój i pożywienie dla zgłodniałych wojaków. Radosne okrzyki brzmiały wokoło.

Tylko Naczelnik nie dzielił ogólnego wesela, smutny siedział z medykiem u pościeli ранego śmiertelnie Józka. Pierwsza kula nieprzyjacielska zwała z nóg małego szewckiego terminatora, jakby mszcząc się, że ją wyśledził.

Kilka dni chłopiec leżał nieprzytomny, aż wreszcie pewnego poranku otworzył oczy i uśmiechnął się. Nad nim schylała się ukochana twarz Naczelnika.

— Cóż, jakże się czujesz, mój zuchu? — spytał go serdecznie Kościuszko.

— Dobrze, zarazbym wstał i leciał na okopy...

¹⁾ Dowódca rosyjski.

— E, niema poco. Dziś w nocy jego Królewska Mość pociągnął sobie jak niepyszny do Berlina, a Fersen też odstąpił.

— To dobrze, to dobrze — szepnął Józek, ale nie mógł nic więcej mówić, bo mu nagle pociemniało w oczach, i znowu stracił przytomność.

Gdy przyszedł do siebie, była już noc. Przy nim paliła się świeczka łojowa, i pułkownik Kiliński drzemał w fotelu.

— A gdzie Naczelnik? — spytał cicho Józek.

Kiliński podniósł głowę i rzekł:

— Pierwszy raz od siedmiu tygodni położył się spać rozebrany.

— Niech śpi — szepnął Józek. — Takbym chciał, żeby przyszedł na mój pogrzeb. Czy przyjdzie? Poproście go, panie pułkowniku.

— Józek! — zawołał wzruszony Kiliński — co też ty bredzisz? Będziesz żył!

I ujął chłopca za rękę, lecz ręka była już zimna.

.

Cicho śpi na cmentarzu powązkowskim mały szewcki terminator. Nad jego mogiłką skrzypi biały krzyż drewniany, i mała brzoźka szepcze mu smutne nowiny:

...że Kościuszko został pod Maciejowicami ¹⁾ wzięty przez Rosjan do niewoli...

¹⁾ Bitwa pod Maciejowicami była 9 października 1794 roku. Polacy zostali pobici, a Kościuszko dostał się do niewoli. Wypuszczony z więzienia przez cesarza Pawła, zamieszkał w Szwajcarii, gdzie umarł w 1817 roku. Ciało jego złożono w grobach królewskich na Wawelu obok ks. Józefa Poniatowskiego.

...że Suworow wyrzwał Pragę, a Warszawę
zdobył po rozpaczliwej obronie...

...że nastąpił ostateczny rozbiór Polski, a król
Stanisław August wyjechał do Petersburga...

Hej! lepiej Józkowi tam w mogiłce! ma swój
kawałek ziemi, a jego naród nic, jeno hańbę, roz-
pacz i niewolę.

TREŚĆ.

Leki królowej Jadwigi. Powiastka z czasów Jadwigi i Jagielly	3
W niewoli u krzyżaków. Powiastka z czasów Władysława Jagielly	14
Złamana przysięga. Powiastka z czasów Władysława Warneńczyka	28
Panicz i chłopskie dziecko. Powiastka z czasów Jana Olbrachta	41
Złoty dukat. Powiastka z czasów zygmuntofskich . . .	54
Dwie siostry. Powiastka z czasów Zygmunta Augusta . .	67
Najazd. Powiastka z czasów Stefana Batorego	81
Kłeska. Powiastka z czasów Władysława IV	93
Obrona Częstochowy. Powiastka z czasów Jana Kazimierza	108
Dzień banity. Powiastka z czasów Jana III Sobieskiego .	122
Przed elekcją. Powiastka z czasów przedostatniego bezkrólewia w 1733 roku	134
Radosny dzień, powiastka z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego	147
Szewcki terminator, powiastka z roku 1794	163



